

DZIŚ i JUTRO

PRZECIWIW POLITYCE NOWEJ WOJNY O POKÓJ MIĘDZY NARODAMI

Oświadczenie Episkopatu

Episkopat zgodnie z posłannictwem Kościoła, wypowiadając się zasadniczo w sprawach religijnych i moralnych, poczuwa się do obowiązku zabrania głosu w sprawie nurtującej dziś całą ludzkość.

Obecnie cały świat z najwyższą uwagą, a zarazem z wielkim niepokojem, śledzi najnowsze wynalazki w dziedzinie atomowej.

Albowiem zastosowane właściwie mogą one mieć olbrzymi wpływ na dalszy szybki rozwój cywilizacji i kultury, ale też użyte w postaci broni atomowej czy wodorowej mogą spowodować masową zagładę i samego człowieka i wytworzonych przezeń dóbr.

Ponieważ cały katolicki pogląd na świat jest przepojony ideą miłości do człowieka, istotnym jest dlań nakaz harmonijnego współzycia ludzi i narodów między sobą, sprawiedliwego rozwiązywania spraw międzynarodowych, unikania konfliktów zbrojnych, zwłaszcza konfliktów, które mogą zagrażać życiu całej ludzkości i zniszczyć dotychczasowy dorobek cywilizacyjny - kulturalny. Toteż

Kościół katolicki uczy stale, że im większy następuje rozwój techniki, tym bardziej należy kształtować moralną siłę człowieka, która darów Bożych, jakimi są zdobycze umysłu ludzkiego, użyje na dobro a nie na zniszczenie.

W odpowiedzi na poważne zaniepokojenie narodów, wywołane widmem atomowej czy wodorowej wojny — Papież Pius XII wypowiedział się ostatnio w duchu odrzucenia i wyeliminowania wojny atomowej, biologicznej i chemicznej.

Takie oświadczenie jest równoznaczne z ostrzeżeniem i wezwaniem, by rządy Państw rozwiązywały trudności nie przy pomocy bomby atomowej, wodorowej czy innych środków masowej zagłady, ale przez zastosowanie wszelkich dostępných sposobów zdolnych doprowadzić do uzgodnienia poglądów i do unormowania na całym świecie sprawiedliwych stosunków między narodami i Państwami, do stopniowego roz-

brojenia i wprowadzenia zasad bezpieczeństwa zbiorowego.

Episkopat, jako przedstawiciel Kościoła katolickiego w Polsce, wobec groźby wojny atomowej uważa za swój obowiązek stwierdzić, że postawa Kościoła i całego społeczeństwa w naszej Ojczyźnie jest zgodna w tym kierunku, by tron masowej zagłady była bezwzględnie zakazaną przez prawo międzynarodowe, tak jak już ją odrzuciło prawo moralne.

Episkopat polski wraz z całym narodem polskim wypowiada się więc za wprowadzeniem takich umów międzynarodowych, które ludzkości w miejsce widma zagłady cywilizacji ukazałyby wizję bezpiecznego i spokojnego rozwoju i stopniowego rozbrojenia.

Jest to ważne i niezwykle żywotne dla wszystkich bez wyjątku narodów — ale jakże żywo odczuwa to specjalnie polski naród, który niedawno tyle ofiar poniósł w walce z niemieckim najazdem, a teraz z wysił-

kiem odbudowując swą Ojczyznę, chciałby ją widzieć bezpieczną i coraz bardziej rozkwitającą.

Toteż w pełni słuszny i zrozumiały sprzeciw budzą w narodzie polskim — jak i wśród innych narodów — próby ponownego uzbrojenia rewizjonistycznie nastawionych Niemiec jako zagrażające pokojowi. Natomiast pełnym poparciem cieszą się pokojowe usiłowania normalizacji stosunków w Europie i świecie na drodze zawarcia odpowiednich, ogólnoeuropejskich i światowych porozumień w duchu bezpieczeństwa zbiorowego.

Zgodna jest więc postawa całego Kościoła katolickiego i całej ludzkości w tym kierunku, by konflikty międzynarodowe załatwiać nie bronią powszechną, lecz szukaniem sposobów rozumnych do urzędzenia świata na podstawach sprawiedliwości i miłości

Warszawa, dnia 26 maja 1954 r.

W imieniu Episkopatu

(—) Biskup Zygmunt Choromański
Sekretarz Episkopatu

PRÓBNE eksplozje bomb wodorowych na wyspach Oceanu Spokojnego wywołały wielkie poruszenie w świecie i wzbudziły zrozumiały niepokój. Rezultaty doświadczeń przeprowadzonych w marcu br. przez Stany Zjednoczone z nową bronią masowej zagłady są powszechnie znane. Okazało się, że następstwa wybuchów bomb wodorowych wymykają się spod kontroli ludzkiego umysłu, że zatem już samo kontynuowanie doświadczeń zagraża życiu ludzkiemu.

Cywilizacja znalazła się w obliczu poważnego niebezpieczeństwa. Stwierdzenie tego faktu nie oznacza jednak wcale, by katastrofa miała być nieuniknioną. Milionom prostych ludzi obca jest myśl o zbiorowym samobójstwie. A zjednoczona wola milionów ludzi może i powinna uniemożliwić dokonanie zbrodni szaleńcom, którzy w obronie swych egoistycznych interesów usiłują sterroryzować opinię świata perspektywą zagłady cywilizacji.

W odpowiedzi na szantaż atomowy amerykańskich polityków na całym świecie podniosła się fala oburzenia. Protestują robotnicy i uczeni, politycy i poeci, duchowni wszystkich wyznań i ateistów. Niebezpieczeństwo grożące cywilizacji mobilizuje do jej obrony wszystkich uczciwych i rozsądnych ludzi, niezależnie od ich przynależności narodowej, wierzeń i poglądów filozoficznych. Ugruntowuje się przekonanie, że ta współpraca, oparta na wzajemnym poszanowaniu ogólnoludzkiej wartości zawartych w każdym prawdziwie wielkim ruchu ideowym, jest nie tylko warunkiem ocalenia cywilizacji, ale także przyczyną do jej dalszego, pokojowego rozwoju.

Wśród głosów domagających się zakazu używania broni masowej zagłady, zakazu przeprowadzania dalszych, zbrodniczych eksperymentów, wśród głosów domagających się, by zdobycze współczesnej nauki służyły szczęściu człowieka, nie mogło zabraknąć głosu katolików. W tej sprawie wypowiedziało się już szereg uznanych autorytetów świata katolickiego łącznie z najwyższym autorytetem religijnym i moralnym Ojca Świętego Piusa XII.

Opinia katolicka w Polsce, a zwłaszcza katolickich środowisk społecznie postępowych, zareagowała żywo na amerykańskie doświadczenie z bombą wodorową. Wyrazem uczuć nurtujących katolików polskich są m. in. ukazujące się od dłuższego czasu na łamach „Słowa Powszechnego” liczne wypowiedzi księży katolickich, naukowców, działaczy społecznych i literatów. Tygodnik „Dziś i Jutro” wydał specjalny numer poświęcony sprawie obrony cywilizacji wobec groźby atomowego szaleństwa nieodpowie-

dzialnych polityków zza Oceanu. Artykuły utrzymane w tym samym duchu ukazały się również w innych pismach katolickich.

Opublikowane ostatnio oświadczenie Episkopatu polskiego wzmocniło ciężar gatunkowy głosu katolików polskich w obronie cywilizacji. Przyjmujemy je z radością i uznaniem. Episkopat polski przypomina, że dążenie do pokoju, przeciwstawianie się tendencjom zmierzającym do nowej wojny światowej, a zwłaszcza takiej wojny, która mogła by zakończyć się unicestwieniem cywilizacji i zagładą życia ludzkiego, jest obowiązkiem katolików płynącym z podstawowych założeń katolickiego poglądu na świat. Biskupi polscy stwierdzają dalej, że postawa Kościoła i społeczeństwa polskiego wobec groźby wojny atomowej jest jednoznaczna. Wyróżnia się ona w przekonaniu o konieczności bezwzględnego zakazu broni masowej zagłady.

Zdecydowane potępienie wojny, która przy współczesnym stanie techniki zagraża egzystencji całej ludzkości, zobowiązuje do poparcia wszelkich kroków zmierzających do pokojowego uregulowania spornych problemów międzynarodowych. Wymaga poparcia porozumień i układów, które by mogły zapewnić światu pokój. Oświadczenie głosi, że Episkopat wraz z całym narodem wypowiada się za wprowadzeniem takich umów międzynarodowych, które by zapobiegły światowemu konfliktowi i zabezpieczyły pokojowy rozwój ludzkości.

Biskupi polscy precyzują następnie swój punkt widzenia w niezwykle istotnej dla naszego narodu sprawie remilitaryzacji Niemiec zachodnich oraz w sprawie układu o bezpieczeństwie zbiorowym. W oświadczeniu Episkopatu czytamy: „Toteż w pełni słuszny i zrozumiały sprzeciw budzą w narodzie polskim — jak i wśród innych narodów — próby ponownego uzbrojenia rewizjonistycznie nastawionych Niemiec jako zagrażające pokojowi. Natomiast pełnym poparciem cieszą się pokojowe usiłowania normalizacji stosunków w Europie i świecie w duchu bezpieczeństwa zbiorowego.”

Oświadczenie Episkopatu jest doniosłym dokumentem określającym stosunek Hierarchii Kościoła katolickiego w Polsce wobec kluczowych problemów międzynarodowych współczesnego świata. Nie wątpimy, że głos biskupów polskich wpłynie na jeszcze silniejsze zwanie polskiej opinii katolickiej w proteście przeciw wojnie, w proteście przeciw absurdalnemu i nieludzkiemu praktykom wiodącym do zagłady cywilizacji.

I nagroda w konkursie Literackim „Dziś i Jutro”
WACŁAW OLSZEWSKI

Dwie życia połowy

„Trzeba życie rozłamać w dwie wielkie połowy:
Jedną godziną myśli trzeba w przeszłość wrócić”

I.

Za progiem mego domu — przestrach we mnie budził widok obcych wydarzeń, nieznanymi ludzi; w mym dzieciennym pokoju — świat był bliski, znany: półmroki i półcienie, sylwetki i ściany. Za oknem — dzień, jak w bajce (okno — matka dobra trzymała w dłoniach, niby zadumany obraz) Ojcowskie słowa były, jak sztandar, jak system — bezpiecznie i radośnie drżał dzieciństwa listek w konarach dłoni mocnych. Matczyne pieszczoły były ciepłe, jak passat i jak słońca dotyk, pod dłoń matki — tęcza wschodziła po burzy, noc stawała się jasna i dzień się nie chmurzył. Wieczorami zaś — świat mój jeszcze bardziej malał: ojciec ostrożnie lampę naftową zapalał i w kręgu światła zniknął najdrobniejszy smutek — był tylko ojciec, matka i cień bergamutek

Potem, gdy pożar objął świata widnokregi — marzyłem o wieczorach tych i światła kręgu, tęskniłem, by rodzice szepnęli do ucha: „nie bój się synku, nie bój — granat nie wybucha, pod naszą dłońią pożar zagaśnie i smutek, jak kiedyś w kręgu lampy, w cieniu bergamutek”.

(lecz pożar był silniejszy i dłonie te spalił, ściany mego dzieciństwa w proch i pył rozwalił)

II.

Świecie mój z lat trzydziestych, opięty jak trzeba w granatowy mundurek. Kolorytem nieba wyszywano na tarczy numer tego świata — na znak, że są to jeszcze me szczeniące lata (bowiem wyżsi ode mnie i bardziej dojrzali — czerwonymi tarczami się numerowali) W tym hermetycznym świecie — ściany były białe, z nich siewo zachmurzony spoglądał Marszałek i nawet podczas paazy nie spuszczał nas z oka — ład i granit niezłomny — rzecz można — opoka

(już po latach dziesięciu, los — opokę zmienił w deskę wyszarpywaną spod rzędu szubienic)

W białym moim kolegium, odcięty od zdarzeń widziałem wciąż te same idee i twarze, a dzwonek na modlitwy, lekce i śrudania prowadził mnie za rękę, niby dobra niania — rósł spokój zbyt spokojny, rósł kumetyzm i kwiaty i rósł — niesfety — także pewien automatyzm (Skutki — odcenić mogłem dopiero po latach, gdy z wyheblowanego — w mym pojęciu — świata drzazgi krwawiły dłonie, do modlitwy spleść je bardzo było mi trudno i bardzo bolesne)

Lecz wówczas było jasno, było coraz prościej, świat był gładki jak klecznik, nie było trudności, była ufność ogromna i wiara chłopięca — z tęsknotą do niej — jeszcze dziś wyciągam ręce: bo pamiętam samotne godziny w kaplicy i Matki Najświętszej bizantyjskie lica oświetlone płomykiem, błyszczącym z ołtarza. Wokół nikogo. Tylko dwie świecili twarze. I wystarczyło wtedy jeno pragnąć mocniej, żarliwiej się w nią upatrzyć — a wśród ciszy nocnej mógłbym, nie tylko moją modlitwę usłyszeć: szelest szat bizantyjskich obudziłby ciszę i chłopiec zagubiony w wielkiej, czarnej ławie — usłyszałby z obrazu wyszeptane: „Ave”.

Tak. Było coraz jaśniej, było coraz prościej, świat był wyheblowany, nie było trudności, mimo zwycięstw Hitlera i hiszpańskiej łuny — byliśmy my jedynie (prócz żydo-komuny).

Z bólem przesłać dziś muszę krwią pisane wiersze ku dalekim krainom, do Ciebie mój księżu — coś nam kazał Zdrowaśkę zmawiać każdym rankiem za Hiszpanię i Alangi, walczącą pod Franciem, coś nam radził Tuwima wrzucać do szaletu za to, że „szarpał Polskę deklinacją” — nie tą, którą nakazywała „polska” racja stanu (modlisz się dzisiaj za nią w Zjednoczonych Stanach).

Oddzielony od świata Wisłą, murem, lasem rósł więc razem z latami nasz młodzieńczy faszyzm w narodowym wydaniu — każąc nam Marszałka zrzucić kiedyś ze ściany. Książd dyrektor zaikał (mimo że po cichutku płynął z prądem naszym, jednakże: rząd sanacji — to także był faszyzm) więc, by dłużej nie drażnić Abła, ni Kaina — wylano mnie z gimnazjum: „Idź w pokój — synu”.

III.

Faszyzm rósł, jak nowotwór. Wśród „studentkiej braci” — w czapczkach korporanckich Lechii i Sarmacji — byli gimnazjalista w „wodzów” zapatrzony, (Dokończenie na str. 2)

POWSTANIE KOŚCIOŁA

Zielone Świątki należą do trzech największych uroczystości w liturgii katolickiej. Każda z tych trzech uroczystości jest szczególnie poświęcona jednej z trzech Osób Trójcy Świętej, jest pamiętką czynności, dzieła, które w szczególny sposób przypisujemy jednej z Osób Boskich.

Boże Narodzenie jest świętem Boga Ojca, bo jest świętem Ojcostwa Bożego. Wielkanoc jest świętem Syna — świętem uwieńczenia dzieła Odkupienia, triumfalnym zmartwychwstaniem. Zielone Świątki są poświęcone Duchowi Świętemu. Jak Boże Narodzenie jest pamiętką Wcielenia, a Zmartwychwstanie — Odkupienia, tak Zielone Świątki są uroczystością dzieła Uświęcenia, będącego szczególnym zadaniem Ducha Świętego. W Zielone Świątki obchodzimy pamiętkę narodzin Kościoła, przez który Duch Święty wykonuje swe dzieło Uświęcenia. Są one obok Wielkiejnicy najstarszym świętem, jakie zna liturgia.

Ale dlaczego dzieło Uświęcenia, które przecież dokonuje się mocą zasług wysłużonych przez Chrystusa na Krzyżu, przypisujemy szczególnie Duchowi Świętemu? Dlaczego właśnie Jego Osobę łączymy w szczególny sposób z Kościołem, a pamiętkę narodzin Kościoła święcimy w dzień zesłania Ducha Świętego? Kościół w swej liturgii oddaje Duchowi Świętemu należną Mu cześć, ale u wiernych nabożeństwa do Ducha Świętego spotyka się niezmierznie mało. Wśród wielkiej ilości różnych nabożeństw namnożonych przez chrześcijańską pobożność, a dozwolonych i zatwierdzonych przez Kościół, Osoba Ducha Świętego przechodzi niemal niezauważoną. Rzadkością jest katolik darzący Ducha Świętego należnym Mu kultem, a jeszcze większą rzadkością jest ludowe nabożeństwo, którego byłby szczególnym przedmiotem i ośrodkiem. Nie jesteśmy wprawdzie jak owi mieszkańcy Efezu, o których mówi św. Łukasz w Dziejach Apostolskich, a którzy zapytani przez św. Pawła: czy otrzymaliście Ducha Świętego, gdyście wiarę przyjęli? — odrzekli: nawet nie słyszeliśmy, że jest Duch Święty. W przeciwieństwie do nich — wszyscy słyszeliśmy, że jest Duch Święty, ale niestety trzeba przyznać, że często cała różnica między nimi a nami do tego tylko się igranicza.

Być może, główne przyczyny takiego stanu rzeczy są w istocie drugorzędnej natury. Po prostu osoba Ducha Świętego nie daje niemal żadnego oparcia dla naszej wyobraźni. Syn Boży żyje w naszej wyobraźni w swej ludzkiej postaci, Bóg Ojciec ma dla nas postać starca, co oczywiście w niczym nie odpowiada rzeczywistości, ale co przez antropomorfizację nleważliwie jakoś Jego Osobę zbliża. Tymczasem postać gołębic w jakiej Duch Święty ukazuje się w Nowym Testamencie, jest dla nas zbyt symboliczna, za mało realna, za mało wiążąca się z atrybutami Osoby i to Osoby Boskiej. Poza tym stosunek Ojcostwa i Synostwa zachodzący między dwiema pierwszymi Osobami Trójcy, jakkolwiek nie posiadają żadnych rzeczywistych odpowiedników w naszym świecie, posiada jednak pewne dalekie analogie w ziemskich stosunkach pochodzenia. Tymczasem Miłość podniesiona do roli substancji, Miłość, która jest osobą, to znowu coś, przed czym nasza wyobraźnia całkowicie kapituluje. Trzeba przyznać, że Pismo św. nie ułatwia nam tego zbliżenia. Stary Testament mówi bardzo wiele o

Bogu Ojcu, a dzieje działalności Syna Bożego są treścią Nowego, natomiast żadna jego część nie jest wprost poświęcona Duchowi Świętemu. Wszystko to może tłumaczyć przyczyną, dla których Duch Święty tak mało miejsca zajmuje w naszej świadomości, może sprawiać, że wyrobienie sobie o Duchu Świętym pojęcia proporcjonalnego do tego, jakie mamy o dwóch pierwszych Osobach Trójcy, jest wyjątkowo trudne. Stary i Nowy Testament mówią o Duchu Świętym tylko w paru miejscach, ale jakże wymownie ukazują przy tym Jego rolę. A gdy chcemy znaleźć księgę, która byłaby Jemu właśnie szczególnie poświęcona, wówczas sięgniemy do Dziejów Apostolskich, do historii Kościoła, do dziejów świętości dusz.

Jeśli chcemy wiedzieć, jaką jest rola Ducha Świętego w zewnętrznej działalności Boga, musimy przede wszystkim zrozumieć, jakie miejsce zajmuje On w wewnętrznym życiu Trójcy Świętej. Rola poszczególnych Osób Boskich w zewnętrznym dział

alności Trójcy odpowiada ich funkcji w Jej wewnętrznym życiu i z niej wynika. Trzeba tu od razu zastrzec, że rozumienie charakteru owego podziału czynności między Boskimi Osobami jest dla nas równie trudne, jak wyobrażenie sobie trójstaj jedności, jaką stanowi Trójca Święta, to znaczy jest w istocie swojej ostatecznie niemożliwe. Możemy tylko uczynić rzecz mniej lub więcej zrozumiałą, ale nigdy nie będzie ona dla nas zrozumiałą całkowicie. Ołóż dlatego właśnie, że Bóg jest trójstaj jednością, zupełnie podział czynności między Boskimi Osobami jest niemożliwy, bo są One od siebie nieodłączne i przez to wszystkie czynności są im wspólne. Nie przeszkadza to, że poszczególnym osobom Trójcy przypisujemy pewne czynności w sposób specjalny, wyprowadzając te funkcje z pochodzenia każdej z Osób Trójcy i z ich wzajemnych stosunków o to pochodzenie opartych. Wszystkie trzy Osoby Trójcy istnieją wiecznie i nie mają początku, ale zachodzą między nimi różnice pochodzenia. Bóg Oj-

ciec to, czym jest, i wszystko, co posiada, ma tylko od siebie samego. Jest On początkiem bez początku. Bóg wiecznie tworzy o sobie doskonałe pojęcie. Ta świadomość Boga o sobie samym jest osobą, Synem, uosobioną Mądrością Bożą, która jest początkiem z początku i wszystko, czym jest i co posiada, ma od Ojca. Ojciec i Syn uznając w sobie nawzajem absolutną doskonałość milują się wzajemnie, a ta miłość tworzy trzecią Osobę Boską, uosobioną Miłość, która to, czym jest i co ma, otrzymuje zarazem od Ojca i Syna. Jest Ona węzłem miłości między Ojcem i Synem, a ponieważ miłość jest źródłem jedności, jest Ona elementem jednoczącym, elementem jedności między Ojcem i Synem. Tym samym jest ona źródłem wszelkiej jedności we wszechświecie, bo wszelka jedność jest odbiciem jedności Trójcy. Z drugiej strony miłość jest twórczą podstawą i istotną treścią wszelkiej dobroci, a więc i świętości Boga. Stąd trzecia Osoba Boska — Miłość, jest nazwana Duchem Świętym, Duchem

wszelkiej świętości. Dlatego Duch Święty w zewnętrznym działaniu Trójcy jest miłością, jednością i świętością. Jego specyficzną funkcją jest jednoczyć przez miłość i uświęcać przez miłość. To tłumaczy Jego rolę w dziele Odkupienia i Uświęcenia.

Duch Święty zamieszkując w ludzkiej naturze Chrystusa zamieszkał tym samym w ludzkiej naturze jako takiej. Więź życia nadprzyrodzonego między Bogiem a człowiekiem, zerwana przez grzech pierworodny, została na powrót nawiązana. Ludzkość w Osobie Chrystusa została dopuszczona przez działanie Ducha Świętego do wewnętrznego życia Trójcy. Ale to dopuszczenie było aktualnie dokonane tylko w stosunku do Chrystusa, w stosunku do wszystkich innych ludzi posiadało ono charakter wyłącznie potencjalny. Dopiero Chrystus mocą zasług wysłużonych przez Siebie na Krzyżu pozwolił każdemu człowiekowi zrealizować tę potencjalną możliwość. Mocą zasług Chrystusa otwarta została dla Ducha Święte-

go droga do każdej ludzkiej duszy. Przychodzi On do niej przez chrzest św. Wszczepiając jej łaskę nadprzyrodzoną, łączy ją przez miłość z wewnętrznym życiem Trójcy, a specjalnie z Chrystusem, i uświęca ją kształtując na wzór przeobstawionej przez siebie duszy Chrystusa. Nasza świętość jest udziałem w świętości Chrystusa i Duch Święty przychodzi do nas poprzez Jego duszę. Przynosi nam Chrystusa, z którym jest zjednoczony, i kształtuje nas podług Jego wzoru.

*

To wszystko, co wyżej powiedziano, tłumaczy związek zachodzący między Kościołem a Duchem Świętym. Kościół jest Mistycznym Ciałem Chrystusa — Chrystusem zupełnym. Chrystus jest jego głową, a Duch Święty duszą. Jest jego duszą, ponieważ będąc jednoczącą miłością łączy go z Głową — Chrystusem i łączy jego członki między sobą, a będąc świętością — łącząc go z Chrystusem, zarazem go uświęca mocą Chrystusowych zasług i z Jego świętości, tak jako całość, jak i w każdym z jego członków, Duch Święty jest duszą Kościoła, ponieważ dziełem Mu właściwym jest uświęcenie, które jest misją Kościoła, zasadą i racją jego bytu. Ale Kościółowi nie wystarczały te łaski, które wystarczają każdej ludzkiej duszy do jej osobistego zbawienia. Kościół jest uświęcającą społecznością i, aby mógł skutecznie wykonywać swą misję, musi być, jako uświęcająca społeczność, wyposażony w łaski i przywileje specjalnego rodzaju. Duch Święty wyposaża w takie łaski Kościół jako całość i każdego z nas w związku z naszą funkcją w dziele wzajemnego uświęcania — apostołstwa. Ponieważ to działanie apostołskie związane jest w zasadzie z osobistą świętością, Duch Święty udziela nam tych apostołskich łask równocześnie ze szczególnym obdarowaniem nas łaskami służącymi wprost naszemu osobistemu uświęceniu. Specjalnym sakramentem, w którym zostają rozwinięte i wzbogacone łaski otrzymane przez nas na chrzcie św., a specjalnie te, które uzdolniają nas do wzajemnego uświęcania, jest bierzmowanie. Dopiero ten sakrament czyni nas w pełni chrześcijanami i czynnymi członkami Kościoła, mogącymi brać doskonały udział w jego życiu i jego uświęcającej działalności.

Takim sakramentem bierzmowania w stosunku do Kościoła jako całości, w stosunku do Ciała Mistycznego, było zesłanie Ducha Świętego w dniu Zielonych Świąt. Kościół powstał dzięki ofierze krzyżowej Chrystusa. Wówczas został urodzony do życia, ale nie posiadał jeszcze w stopniu wystarczającym wszystkich łask, które pozwoliłyby spełniać mu jego misję, uczyniłyby go w pełni społecznością uświęcającą i przystosowałyby wszystkich jego ówczesnych członków do działalności apostołskiej. W dniu Zielonych Świąt Kościół narodził się jakby po raz drugi, stał się w pełni sobą, obdarzony został najwyższą świętością i nieomylnością i mocą udzielania tej świętości, a apostołowie, którzy przecież już przedtem posiadali życie nadprzyrodzone i władzę kapłańską, dopiero wtedy w „bojaźliwych i malej wiary” stali się w ciągu jednej chwili nieustraszonymi głosicielami prawdy. W tym dniu Kościół został ukazany światu i rozpoczął swą apostołską misję.



Tintoretto — Trójca Święta

Sakwaneja Zielonych Świąt

Veni Sancte Spiritus

Przybądź Duchu Święty
I ześlij z niebiosów
Promień Twej światłości,

Przyjdź Ojczy ubogich,
Przyjdź Rozdawco darów,
Przyjdź Światłości serca,

O Poczycielu,
Tkliwy Gościu duszy,
Słodkie Pokrzepienie —

W pracy Tyś spoczynkiem,
W upale ochłodą
W smutku pocieszeniem.

O Światłości błoga
Napełń wnętrze serca
Twoich wszystkich wiernych.

Bez Twojego słowa
Nic nie ma w człowieku,
Nic, krom utrudzenia

Zmyj to, co nie czyste
Zroś to, co jest oschłe
Ulecz, co zranione

Ugnij, co niechętne,
Ogrzej, co jest zimne,
Prostuj, co zawile.

I daj wiernym Twoim
Tobie ufającym
Świątym siedem darów.

Daj cnoty zasługę,
Daj szczęsne konanie,
Daj wieczystą radość.

Amen — Alleluja

opracował

Mikołaj Bieszczadowski

zać, że operacja taka może zakończyć się powodzeniem, o ile zastosowane zostanie należyte skoordynowanie racjonalnej strategii z odpowiednią dywersyjną akcją polityczną. Jako punkt wyjścia swych wywodów Anders wziął wojskową i polityczną analizę dwóch kampanii ofensywnych armii hitlerowskiej przeciwko Związkowi Radzieckiemu w roku 1941 — 1942 i w r. 1942 — 1943, do bitwy stalingradzkiej włącznie.

Dostosowując się do potrzeb propagandy amerykańskiej Anders wystąpił jako entuzjastyczny gloryfikator fachowych wojskowych niemieckich, twierdząc, że gdyby nie lekceważenie ich rad przez Hitlera, ufnego w swój rzekomo „samorodny geniusz strategiczny”, już kampania 1941 r. mogła przesądzić o zwycięstwie nad ZSRR. Nie zapomina, dla kogo pisze, więc przypochlebia Amerykanom głosząc, że z chwilą ich wejścia do wojny nie mogło już być mowy o całkowitym triumfie hitlerowskim, lecz zaznacza, że jego zdaniem nawet w 1942 r. fałszywi Niemcy mieli jeszcze szansę wygrania kampanii wschodniej i zawarcia na tej podstawie „bardziej dla siebie korzystnego pokoju niż kapitulacja 1945 r.”

Główna część książki poświęcona jest rozważaniom nad koncepcją strategiczną ofensywy hitlerowskiej na ZSRR i jej wykonaniu. Jako główne błędy wojskowe Hitlera Anders uważa: 1) zlekceważenie operacji w Afryce i w ogóle w basenie Morza Śródziemnego, które mogłyby otworzyć drogę do zaatakowania

ZSRR od strony Kaukazu; 2) apriorystyczne zakładanie możliwości osiągnięcia rozstrzygnięcia w krótkiej jednorazowej kampanii; 3) szulcanie w pierwszym roku zwycięstwa w wielkich bitwach, które zniszczyłyby armie przeciwnika, bez postawienia sobie konkretnych celów strategicznych w postaci skierowania głównego wysiłku na opanowanie decydujących centrów strategiczno-gospodarczych, do których autor zalicza przede wszystkim region moskiewski i Kaukaz z jego źródłami naftowymi; 4) podjęcie ofensywy na zbyt szerokim froncie przy niedoceniceniu strategicznego i politycznego znaczenia; zdobycie Moskwy; 5) podkopywane jedynie względami prestiżowymi odzucenie proponowanej przez generalicję ostatecznej taktyki w obliczu zimowej (1941—1942) ofensywy radzieckiej; 6) przerzucenie się w kampanii 1942 r. do akcji mającej na celu zajęcie Kaukazu bez dostatecznego zabezpieczenia się na lewym skrzydle w postaci pozostawienia w rękach przeciwnika głównego węzła komunikacyjnego w rejonie moskiewskim, co umożliwiło kontrofensywę radziecką; 7) niekonsekwentne przeprowadzenie operacji kaukaskiej w postaci niepotrzebnego zaangażowania się w ofensywę przeciwko Stalingradowi; oraz 8) samobójcze upieranie się przy obronie pozycji stalingradzkiej, m. st. użycia tamtejszych wojsk niemieckich do koncentrycznego ataku przeciwko kontrofensywie radzieckiej nad Donem.

W ten sposób Anders występuje jako entuzjasta błędnych koncepcji

„klasycystycznych” niemieckiego szlabu generalnego, a nie pisze o rzeczy najważniejszej, mianowicie o potencjalnej przewadze ustrojowej, gospodarczej i polityczno-moralnej strony radzieckiej, decydującej z kolei o przewadze wojskowej. Pogrom faszyzmu hitlerowskiego przyniosły nie błędy militarysty niemieckiego, lecz wspaniałe zwycięstwa armii radzieckiej będącej wyrazem zdecydowanej woli całego narodu obronienia swych swobód i niepodległości oraz ściśle z tym związaną wyższość taktyczną i strategiczną radzieckich sił zbrojnych posługujących się założeniami ściśle naukowymi i najnowocześniejszą techniką.

Jest w związku z tym znamienne, że Anders uwzględnił jedynie źródła i materiały niemieckie, a w podanej obszernej bibliografii nie ma ani jednej pozycji z bogatej na ten temat literatury radzieckiej, do na celu zajęcia Kaukazu bez dostatecznego zabezpieczenia się na lewym skrzydle w postaci pozostawienia w rękach przeciwnika głównego węzła komunikacyjnego w rejonie moskiewskim, co umożliwiło kontrofensywę radziecką; 7) niekonsekwentne przeprowadzenie operacji kaukaskiej w postaci niepotrzebnego zaangażowania się w ofensywę przeciwko Stalingradowi; oraz 8) samobójcze upieranie się przy obronie pozycji stalingradzkiej, m. st. użycia tamtejszych wojsk niemieckich do koncentrycznego ataku przeciwko kontrofensywie radzieckiej nad Donem.

tyczne, marzące o przywróceniu dawnych stosunków burżuazyjno kapitalistycznych. W związku z tym Anders rozwodzi się szeroko i entuzjastycznie nad formacjami dezerterskich i zdradźców radzieckich tworzonych pod dowództwem gen. Własowa, powracając stale do myśli, że ta karta mogłaby być lepiej wykorzystana, gdyby nie rasistowskie i na tym tle niekonsekwentne ustosunkowanie się Hitlera do wszelkich przyczyn mających na celu wykorzystanie elementów lokalnych w rozwiązywaniu problemu rosyjskiego.

Tak więc jako główny błąd polityczny Hitlera w kampanii wschodniej Anders uważa barbarzyńskie traktowanie ludności ZSRR, które potęgowało w niej patriotyzm radziecki i zachęcało do akcji partyzanckiej na tyłach frontu niemieckiego. Poruszając tę sprawę autor stara się niewątpliwie skłonić rząd Stanów Zjednoczonych do kontynuowania i rozszerzenia akcji dywersyjno-szpiegowskiej wewnątrz Związku Radzieckiego, głoszonej przez takich ideologów ekspansji amerykańskiej, jak Kennan, a realizowanej w ramach głośnej ustawy o stumilionowym kredycie na ten cel. Jest to zresztą u Andersa wyrażonym nawiazaniem do niestawnej pamięci polityki prometejskiej rządów sanacyjnych, której nierealność stwierdziła tak wyraźnie patriotyczna postawa narodów Związku Radzieckiego podczas Wielkiej Wojny Narodowej oraz sukcesy polityki narodowościowej usuwającej społeczne podłoże tendencji nacjonalistyczno-separatystycznych,

Faktyczne dążenia i cele książki Andersa ujawnia najjaskrawiej jej „Zakończenie”. Jest to pozornie niewiążące się logicznie z treścią historycznego omówienia kampanii hitlerowskiej na Wschodzie przeprowadzenie analizy obecnej sytuacji politycznej i strategicznej Związku Radzieckiego. Autor nie może przemilczeć elementów potęgi ZSRR, uwzględniła więc siłę i odporność ustroju radzieckiego, ogromną rozbudowę potencjału gospodarczego, cementujące znaczenie ideologii komunistycznej, walory ilościowe i jakościowe armii radzieckiej, czynnik geograficzny i materialne oraz imponderabilia, które utrudniają każdą akcję ofensywną przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Jednakże przy każdym punkcie stara się tendencyjnie wynaleźć różne „ale” i „jednak”, aby na tym tle szkicować własny plan działań strategicznych i politycznych, które by — jego zdaniem — doprowadzić mogły do zwycięskiej rozprawy z bastionem obozu pokoju i demokracji. Na turalnie, wychodząc z błędnych założeń, dojdź jedynie może do nowego, lekko tylko zmodyfikowanego wariantu planów hitlerowskich przeciwko ZSRR, których teoretyczną i praktyczną nieskuteczność przypieczętowała już historia.

Ostatni akord tych wywodów wyjaśnia ich cel i intencje. Autor stwierdza, że bez ingerencji zbrojnej z zewnątrz ustrój radziecki upaść nie może, a więc tym samym wzywa tych, którzy są zainteresowani w obaleniu rządów socjalistycznych, do podjęcia krucjaty wojen-

nej przeciwko ZSRR. Anders chciałby przy tej okazji upiec i własną pieczęć, toteż usiłuje przedstawić siebie jako eksperta wojskowo-politycznego tej wojny, budując sztuczny gmach dowodów, że może ona być wygrana.

Jednakże cała ta argumentacja o parta jest na podłożu klasycznego „wishful thinking” zgranych obrońców „Okopów Św. Trójcy”. Wszystkie te karkołomne wywody reprezentanta reakcyjnej emigracji grzeszą całkowitym, będącym logiczną konsekwencją zacietrzewienia klasowego, niezrozumieniem przemian społeczno-gospodarczych dokonujących się na naszych oczach w całym świecie. Szerokie masy ludności Związku Radzieckiego i krajów demokracji ludowej wiedzą, jakim niebezpieczeństwem byłoby dla nich zrealizowanie awanturniczych planów różnego typu Andersów i ich amerykańskich sprzymierzeńców, a reprezentują one już dziś taką siłę, że każda nowa agresja skończy się mniejszą klęską niż ta, która spotkała najeźdźców hitlerowskich,

*) General Władysław Anders „Hitler's Defeat in Russia”. Foreword by Colonel Truman Smith, Chicago 1953, Henry Regery Company, str. 368.

N A O B R O C I E

FRAGMENT

RADWAŃSKI, aptekarz warszawski, gościł u Kazików już od tygodnia. Był to znany rodzic Zosi, z Powiśla, starszy pan, o niezwykłe zrównoważonym umyśle. Razem ze swą bezdzietną żoną, przemiłą garbuską, przyjechali oglądać się na Ziemiach Odzyskanych „za możliwościami”. Aptekę ich wylizali plomienie w ostatnim dniu Powstania. Ojciec Zosi, pułkownik piechoty, i pan magister Radwański znaleźli się w wspólnych kampaniach wojennych i stahowili długo parę nieodłącznych przyjaciół; po śmierci pułkownika pod Kutnem, Radwański nie przestawał być u matki Zosi, którą czuł się w obowiązku przez całą wojnę wspomagać. Niepocieszony wdowie - rezerwiste dodatkowych zmarłych dostarczał konspiracyjną diabelnie ciekawą, którą nazywał „spaloną” po pewnej akcji przydzielono do grupy lesnej, akurat w strony rożnowickiego dworu, gdzie u państwa Przetorskich ukrywał się poszukiwany podprucznik Kazimierz.

W momencie gdy obaj panowie rozpoczynając nową partię szachów mówili do siebie.

— Gare a vous, obywatelu.

— Co, znów gambit? — weszła do pokoju ciocia Marcjanna, mejdając.

— Nakrywam, bardzo przepraszam, ale nakrywam.

— Ciociu, chwilkę.

Marcjanna ściągnęła wraz z serwetą grę i szachownicę z rozsypanymi figurami przeniosła na kredens. Zalażyła na stol białą obrus i zaczęła energicznie stawiać talerze.

— Panie magistrze, przepraszam za nawyki tej starej magiarki i cholera by przy niej nie wytrzymała; przykro mi, że tak muszę mówić o rozdanej siostrze mej świętej pamięci matki.

— Twoja ciotka, Kazik, nieprawda, stanowiąc specyfikiem czasowy drogę. Powiadasz, cholera by nie wytrzymała? Ale demokracja wytrzyma.

— Ta gorza od cholery. Spójrz pan, choćby u nas. Słyszał pan sprzeczek z Zosią? Słyszał pan m. in., że siedzi na 150-hektarowym majątku a żyć nie ma co; wszystka hołota patrzy ci na palce, cała ta demokracja po chlewach i stajniach. Ta demokracja więcej ma do gadania niż ja, niż Zosia. W ten sposób właściwie wszyscy rządzą. A Zosi wciąż się zdaje, że ja powinienem się tak zachowywać jak świętej pamięci Przetorski w Różnowicach. Niechbym ja tylko nie miał tej łatwości z ludźmi jaką mam! Albo z tymi parszywymi, mordercami! Takie Niemry pracują ci w polu z łaski, nasza Trauta jedna co się do nas przywłaźła, a raczej więcej do dziecka, niż do nas, ale reszta? Weź pan tę Pierzchalla, był pan świadkiem dziś rano co się działo, jak szwagromem napelnia całą kancelarię, ponlewał pan Adam pomysł się i nie wpisał jej trzech dniówek! A Múnzerowe stara i młoda jak to umiały cholerne szwabichy od razu trafiła na milicję, gdy nasz kasjer nie zwracał pozycznego od nich roweru...

— Múnzerowe miały rację — odezwał się nagle tonem porycwym Jacek, który już od niejkiej chwili krzątał się po pokoju i wreszcie ustawiwszy sobie misternie na kłamec okna małe kieszonkowe lustro, zaczął się golić; mażąc ułafnikiem mydła brode, mówił:

— Panie aptekarzu Radwański — sam pan powiedz, kto pożyłcy roweru na dzień, a jeżeli nim dwa miesiące i nie myśli oddać.

— Nie ktoś, tylko urzędnik polski od zony hitlerowskiego żołnierza, bracie, chyba „przynajmniej” tyle nam się należy od Niemców za nasze cierpienia. Jacek, ty? Ty się w ogóle nie mieszaj, bo wiesz...

— Co „wiesz”?

— Panowie — skrzywił się aptekarz.

Przewiew spowodowany otwartymi drzwiami i otwartym w górze lufkiem rzucił pod nogi ciotki Marcjanny oderwany gwałt gazety z bukietem piany mydlin.

— Fe, już nie można golić się gdzie indziej? — ciotka Marcjanna wymownie spojrziała na świeży kleks na podłodze.

— Gdzie indziej można, tylko trzeba w lazience odbić deski z okna i wprawić szybę, kupić żarówkę, naprawić wodę, smród nie do wytrzymania; można też w bibliotece, trzeba tylko uważać, aby się nie zabić, ponlewał pewien graf spod mostu poustawił tam na kupie przeróżne antyki pościągane z pałacu, które wają się przy lada okazji na leż; można też w sypialni jaśnie państwa, gdyby nie pani grafini, która mi raz powiedziała...

— Skończy pleść!

— Ze kiedy ja wchodzę do sypialni, to potem tam spać nie można całą noc, tak czuć benzyną i smarami. Można by się wreszcie wcale nie golić, gdyby nie kultura...

— Idź do diabła!

— Ja?

— Nie, ty! Goli się na noc dla tej Niemry, wariat. Ona i bez tego...

— Kazik!

— A, już dość mam tego, sprawą dojrzała by ją skończyć. Basta. Chyba mam jakieś prawo...

— Prawo czy lewo, wyłęcz bieg, bo nie wiadomo, Kazik, jak u mnie może być z hamulcami.

— Silentium, silentium, panie zaraz nadejdą z księdzem — zostawcie tę sprawę na kiedy indziej — odezwał się, wertujący jakąś niemiecką monografię o Rembrandcie pan Radwański — ale upomnienie aptekarza było bezcelowe.

KAZIK chodził nerwowo po pokoju, trwając chwilę w milczeniu. Potem zaczął mówić niby do siebie:

— Idiotyczne efekty, przynoszące wstyd całej rodzinie. Cóż do rogowitych szatanów. Cóż on sobie myśli? że już nikt nad nim nie ma władzy?

Teraz stanął wprost przed Jakiem:

— To, że się chcesz wynosić od nas do pałacu — to nie rozwiąże niczego. Żądam od ciebie jako starszy brat i żądam w imieniu całej rodziny raz jeszcze kategorycznie, byś mi tu po majątku nie paradował publicznie z Annemarie. Nie mamy zamiaru ani ja, ani Zosia, ani nikt z nas żreć wstydu z powodu twego oficjalnego uganiania się za tą Niemką, z którą i tak nigdy w życiu się nie ożenisz, a choćby ze względu na pamięć...

— Milcz!

Twarz Jaka, z jednej strony jeszcze namydlona, pełna była szalonego napięcia, znanionującego groźbę jakiegoś nieopanowanego wybuchu. Również podniecenie Kazika, znaczone charakterystycznymi ruchami obu mięśni szczękowych, mogłoby spowodować taką scenę między braćmi, jaką po raz ostatni kronika rodzinna notowała w drugiej wigilii wojenną, kiedy to popasterce obaj bracia skoczyli do siebie o córkę właściciela tartaku w Różnowicach. W gorące nerwów zdarzyło się, że Kazik rzucił w Jaka po krótkiej lecz gwałtownej

sprzecze ciężką, cynową popielniczką, trzymając przypadkowo w ręce. Istniała przecież między nimi mimo wielu zasadniczych różnic, zdumiewająca otoczenie, oryginalna jakaś miłość braterska, która powodowała, że raczej w życiu trzymali się razem. Obydwaj mieli natury porywcze i równocześnie uparte. Razem też sympatyzowali w tych samych typach kobiecych, choć naturalnie według opinii Kazika pozycje Jaka jako rywala nie można było brać poważnie, już to ze względu na „robociarski” styl bycia, już to ze względu na braki w tzw. hajlajcie.

Pan Adam — jak zwykle — zjawił się w odpowiedniej porze. Pierwszy kawalowy majątku, wścibski i wszędożyłki miał szczęście uczestniczyć w różnych tzw. „okolicznościach” rodzinnych swego szefa. Chłasnęty jak biczem Jackowym „młcz” — wszedł do pokoju:

— No, Jacuchna, co jest co? Milcz jak do mnie mówisz...

Jacek zabrał się z goleniem i wyszedł do kuchni. Ledwo się powstrzymał, by nie rzucić, jeszcze od drzwi, trzymanym w ręku pedalem w wykrzywioną grymasem twarz kpiarza.

Walka, jaka toczyła się od pewnego czasu między braćmi, dotyczyła najdardziej istotnych spraw. Niezawse ta istotna strona zagadnienia dochodziła wyraźnie w zewnętrznej formie do głosu; najczęściej ujawniały się raczej marginesy; niemniej w głębokich nurtach problemu, który niepokoił obu, załamywały się jakies ideały i utylitowania, jakies świętości głęboką częścią otoczone w tradycji rodzinnej i narodowej. W rodzinie Kazika i Jaka były trzy śmielci, które, pionąc jak trzy pochodnie, rzucały żywe refleksy na wiele życiowych poglądów i idei.

Pierw ojciec:

„Malomówny i tajemniczy, o twarzy, która mogłaby uchodzić za symbol nudy, inkasent Ubezpieczalni Społecznej, Władysław Bryłka, nieodgadniony nawet dla własnych synów, został aresztowany najnormalniej w świecie pewnego rana o godzinie szóstej i wywieziony na Pawiak, po czym najnormalniej w świecie po miesięcznym tam pobycie dnia 11 listopada 1943 wraz z 99-ciu innymi „bandytami polskimi” rozstrzelano, o czym doniosły czerwone plakaty z podpisem komendanta dystryktu warszawskiego.

Potem matka:

„Za tych parę kilogramów schabu, gdzie ja hitler, psiekrwie, zaprowadziły na Brodno” — stwierdziła w dniu pogrzebu matki Kazika i Jaka, świętej pamięci pani Bryłkowej, właścicielka kiosku żywnościowego, której Bryłkowa dowoziła z Wólki pod Białą Podlaską towar. Bryłkowa złapaną na dworcu wschodnim przesiedziała była kilka miesięcy na Gęsiówce, potem za sutą łapówką zwolniona z gnijącą i ropiejącą kością udową, wędrowała od jednego chirurga do drugiego, aż trafiła do ziemi.

Wreszcie — „Edek, szwagier obu braci, skoczył z dachu czteropiętrowej kamienicy na Chmielnej, wygrzywając w ten sposób wycięć ze ścigającym go oddziałem żandarmerii „Sonderdienst”...

— Wyobraźcie sobie panowie, on coraz częściej zaczyna przebąkiwać, że gotów się z nią ożenić. Z kim! Zwazcie z kim! Do naszej rodziny miaby wpełznąć gad, który przez

całe stulecia, co tu mówić, proszę panów, cholera jasna mnie bierze. Niedoczekanie by jakaś niemra miała nosić nazwisko mego zamordowanego ojca...

— Jeżeli wolno nie milczeć, to a) zbytnio się unosisz, b) występuje z wnioskiem nagłym, abyśmy pogrzebali się na chwilę w oparach dymu w myśl staropolskiej zasady pewnego mistrza poezji: „gdy cię gnębi jakaś troska, zapal sobie papieroska”.

W momencie podawania ognia Radwańskiemu, weszła jego żona; wracała z miasteczka S., gdzie u miejscowego aptekarza, nawiązywała ciekawie kontakty towarzyskie. Garbuska, jak to powiedziało się już, była przemila.

— Więc jestem. Szybko?

— Yhm.

— Byłabym prędzej lecz ten furman, panie Kaziku, chami'ko przedpotopowe. Jak mu? Acha, Józef. Można skończyć. Wolę stokród tych Niemców, przynajmniej pyska nie otwierają; jutro będzie tu na majątku pełnomocnik Centrali Farmaceutycznej z Jeleniej Góry. Pogadasz z nim, mężulu; my chcemy żyć, on chce żyć, rozumiesz. Świetnie, że byłam u Skoleżyńskiej. Gdzie Zosia? Ehm, prawda, dziś jest ksiądz. Więc wyobraźcie sobie panowie, co o nim mówią; trzyma z Moskwą, powiedział, żeby nie śpiewać „raz nam wrócił Panie”, lecz „pobłogosław Panie”. Fe, żeby się ksiądz mieszał do polityki. Nie lubię komerażować, ale mówią, że podobno niebrzydka ma gospodynię...

Kazik z Adamem sprytnie wycofali się na korytarz, zwałniąc się tym samym z obowiązku słuchania trątkotu, którym ostrzeliwała teraz ta ułomna lecz niezłomna kobieta swego zrównoważonego męża.

— Dlaczego powiedziałeś „gad” na tę śliczną niemiecką, a nie mówisz gad na tego starego jamnika? Przecież wiem, że sam radbyś Annemarie spróbować.

— A czy ja mówię, że tego nie wolno? Flirt i próba — to jeszcze nie ożenek, bracie. Ale Jacek chce szumnie, oficjalnie, formalnie, słu-bowalnie, cholera!

KSIĄDZ Ryszka słuchał pani Zosi z przykrymietymi oczyma. Raczęj słuchał o tyle, o ile jej szept był mu potrzebny jako tło snujących się rozmysłów. Ludzie znoszą te swoje greszaki jak kwiaty w kożyczkach, a gdzieś są wory, ciężarowe platformy zaskorupiały przedzień, złych nawyków, nienawiści, brudów życia.

— Nie bylam trzy razy w kościele, ale ksiądz sam rozumie jeżeli do tego S. było za daleko, zresztą maż nie może stać brać koni, ponlewał u nas na majątku teraz, ksiądz wie, jak w kołchozie; skłamałam osłem razy; słuchałam nieprzwoitych żartów cztery razy; rano nie mówiłam pacierza, bo mam małe dziecko...

Umizgi z samym sobą — myślił ksiądz. Spowiedź potraktowana jako wygodne lustro do codziennej toalety.

— To są wszystkie moje...

Nie pozwolił dokończyć. Postanowił nagle ukazać prawdziwy komentarz tej beztroskiej duszy. Zaczął rzucać nieprzyjemne pytania przez co dochodził do przestarzałych owrzdzeń... Powinien obmierzać ten trud konserwacji własnego „ja”. Jesteśmy skazani na inny trud — na trud odnajdywania twarzy ludzkiej, bowiem w nich



Rys. Barbara Jonscher

jest ukryta twarz Boga. Jak miżasz ludzi niosących krzyż? W wygodnej bryce egoizmu aż kurz się podnosi... Niech twoja religia będzie twoim stylem bycia. Powiedział kardynał Newman: „Człowiek religijny jest nim rano, w południe i wieczorem, jego religia jest charakterem, formą, która wszelkie myślenie, mówienie i działanie prześwieca...”

Ksiądz Ryszka, który od pierwszych tygodni zorganizowania diecezji wrocławskiej pracował na tych terenach, widział ją tu fala spłynęła, korzystając z wspaniałego historycznego przypływu... Wszedł jej naprzeciw, tej złowrogiej fali, polyskającej grzbietem slinej chłwaci ludzkiej, zjeżonej dziką brutalnością oszustów, uderzającej o błądą dobro - obywatelskich kombinatorów, wyszedł naprzeciw tej fali głośno rycząc przy „tacie z mamą”, przeciw tej fali, która chciała zagłuszyć stuk podnoszonych z dna rzek, zwalonych przez uciekającego wroga przesłęb monstów, i śpiew robotników montujących agregaty pokaleczonych wojną fabryk.

— Jak ja z tyłu wyglądam, przećleż patrzy na mnie Annemarie — przemknęło przez myśl Zosi. Gdy już skończyły się księżowskie indagacje, odezwała się jeszcze: — Acha, proszę ksiądz, mam małą prośbę: ta Niemka, która tu po mnie ukłęknie, powoduje zgorzniecie w majątku, uwodził mi męża i szwagra. Niech jej ksiądz trochę nagada.

— Proszę nie oskarżać drugich; siostra twoja sama się będzie oskarżała.

— Czy sobie trochę za wiele nie pozwala ten ksiądz Ryszka, wiesz nie chcę wracać do tego, co było

przy stole, ale tu ci dodam, że nazwał Annemarie moją siostrą. Prócz tego trzymał mnie tak długo w konfesjonale, że Bóg wie co sobie ta Niemka pomyślała, że narzeczylam jak cały legion takich jak ona. Mówiąc to Zosia zakrecała sobie włosy na papiloty. Była w zgrabnym szlafrocuku. Już od godziny wybierała się spać. Kazimierz nie odpowiedział. Chodził trzymając dziecko w ramionach. Pora zrobiła się już późna; dziecko rozbudzone ze snu marudziło.

— Skończył-że nareszcie z tymi włosami, cackasz się i nie ciebie nie obchodzi, że jutro mam ciężką harówkę. Gossler będzie biegł po podwórku już co najmniej od trzeciej rano.

— Opatłany szwab.

— Ehm!

Położył Leszka na pierzynach.

— Wyjrze, czy przyjechali z oll-wa.

Dzisiejsza kolacja z księdzem zakończyła się w najbardziej nietortunny sposób. Na początku pełna grzecznych uśmiechów, żartobliwie swobodnych podawów, szczerzej zachęty do korzystania z obfitości półmisków, zaczęła się wyraźnie kwasić od momentu, kiedy zauważono, że ksiądz Ryszka nie dzieli poglądów towarzysztwa co do opowiadanej przez pana Adama historii, związanej z jego „brawurowym” zachowaniem się w pewnym miasteczku w północnych Niemczech. Adam wyzwolony w 1945 roku z Oflagu opanował wile dyrektora cukrowni, w której mieszkał przez parę miesięcy jak gubernator. Ostatecznie ksiądz starał się obojętnie słuchać tego, że córka właściciela, pianistka, prawiła zwolnionemu oficerowi skarpetki i

12)

Jak pustelnik albo jak ten człowiek z budki z wodą sodową przy North Avenue. Oczy mi weszły gdzieś w głąb. Sam dziwiłem się swojemu odbiciu w szybie. Nikt nie wierzyłby w moje niepełne trzydzieści lat. Wyglądam prawie na czterdziestkę. Ale nie to jest najważniejsze. Nie o tym myślę, gdy piszę, że z trudem poznasz swego dawnego Jaka. Twój Jack stał się i w środku kim innym.

Jak pisać do Ciebie, Betty, żebyś choć trochę zrozumiała? Jak wytłumaczyć Ci to wszystko, co jest naokoło?

Leżę w tej samej izbie, do której przyniesiono mnie nieprzytomnego przed trzema prawie miesiącami. W sąsiednim łóżku rozwała się Lenoch. Zdjeli mu już gips, przesłał nawet kule. Wkrótce mają nas zwieźć przed jakąś komisję do badania zbrodni amerykańskich w Korei. On czeka na swojego sanitariusza Sek-tin-wo. Wczoraj był specjalnie pocieszony. Już kilkakrotnie postanawiał zwrócić uwagę Wu-czena na te konszachty. Ale tak wprost nie mogę.

Betty, jak Ci to wszystko wytłumaczyć? Ty nie wiesz kto to jest Sen-tin-wo, kto to jest Wu-czen, nie znasz nawet historii Pen-hu. Zdmwiłyby Cię na pewno te nic nie mówiące imiona. Do każdego z nich dokleiałabym jednakowo żółta, skośnooką twarz. Ze mną było tak samo. Nie rozróżniałem tych żółtych twarzy. Jedna wydawała się podobna do drugiej, jak odbiły tej samej fotografii. A przecież każda jest twarzą innego człowieka. Człowieka, Betty, człowieka, a nie — jak ich nazywałaś, pamiętasz?..

Jak Ci to wytłumaczyć? Wu-czen dał mi wczoraj na moją prośbę — cały blok papieru, obiecał, że zrobi, co można, aby list dotarł do mojej rodziny. Wiem, że nie kłamał. List ten dotrze, jeśli go w drodze nie przychwycą ręce, które boją się prawdy. Bo w tym liście chcę napisać prawdę. Rozumiesz, Betty, całą prawdę...

Nie, czuję, że nie rozumiesz. Boję się, że ta cała chętność pisanina nie ma sensu. Nie możesz zrozumieć. Żeby zrozumieć, trzeba to wszystko przeżyć. Zawsze mówiłaś, że nie chcesz przyzwalać rzeczy bolesnych. Tłumaczyłaś mi, że z życia trzeba brać to co ładne, to co mile.

Pamiętasz, uparłaś się kiedyś, żeby Ci kupić dywan na całą podłogę. Chciałaś, aby u nas było miękko, przytulnie. Wyjaśniałaś mi, że dla przeżywania grozy, potworności życia wystarczy literatura. Usiąść z książką przy lampce z różowym abażurem, przeczytać hi-

storie straszne morderstwa, by odłożyć ją, gdy się zechce i wyciągnąć się na dywan przy kominku.

Widzę Cię, najdroższa, jak leżysz z twarzą podpartą piaskami i patrzysz w skłóklwą grę plomieni. Tak lubiłem tulić Cię, gorącą od ognia, leniwie rozspaną, całą jakąś puszystą, nierealną niemal, a tak cudownie, dotykalnie żywą, coraz mooniej przęcającą się w ramionach...

Betty! Betty! To wszystko jest kłamstwem! Nie gniewaj się, jedyna, kłamstwem! Ten dywan, ten kominiek, ten różowy abażur, nasza cicha pieszczoła. To wszystko nie miało prawa być! Tego wszystkiego, właściciel nie było! Prawdą jest ta izba szpitalna, Lenoch świdrujący mnie bacznym spojreniem, jeśli za ścianą. Prawdą była tamta noc z rybą w ręku, tamten zeszyt, który sześć tygodni temu dał mi do czytania Wu-czen...

Boże, przecież Ty, Betty nie wiesz o tamtej rybie, o tamtym zeszycie, o tym, że Wu-czen pytał w tym zeszycie, jakie masz włosy, jaki jest kolor Twoich oczu. Nie wiesz nic o trzech zgwałconych córkach Jen-Jon-sona. O tym, że to tacy jak ja, że to właściciele ja...

Betty, Betty, jak Ci to wytłumaczyć? Jak sobie to wytłumaczyć? Jak światu...

Kerton przerwał pisanie. Zamknął blok. Bolała go ręka i bolał go skurek krtani. Bolały go oczy odwykłe od bieli papieru utrwalającej czarne, zuczkwate znaki liter. Spojrzył w okno.

Niebo wymyte przedwioseennym deszczem było czyste i spokojne. Jakiś nieznamy, mały ptak z długim i ostrym niby szpilka dziobem kreślił w przejrzystym powietrzu zvgzakowate linie podnieconego mdośnie lotu. Gdzieś z daleka dobiegał stłumiony odległością pomruk samochodowego motoru.

Kerton nie wiedząc czemu, przypomniał sobie nazwę, którą kiedyś w czasie swej pierwszej wizyty przyniósł sierżant Mac Gleen, a którą później — już nie wie w jakiej rozmowie — powtarzał Wu-czen: kraina porannej świeżości.

Zacisnął palce na ołówku. Bojąc się nowych naga-bywań Lenocha, sięgnął po odłożony blok. Otworzył go na ostatniej stronie. Przeczytał ostatnie zdania. Wrócił do początku. Przeczytał cały list. Nagłym ruchem wyrwał zapisane kartki. Chciał je znieść i cisnąć daleko od siebie. Opanował się jednak i złożył papier w równy prostokąt. Welsnął pod poduszkę.

Lenoch poruszył się, uważając, że nadszedł moment

do decydującej rozmowy, którą już zbyt długo odkładali. Kerton uprzedził go jednak, zaczynając pisać na nowo.

Społojnie sprawdził swój pomieciowy kalendarz. Spokojnie wpisał datę w lewym rogu karty: 26 marca 1952 roku. Przez chwilę zastanawiał się jakby nad ważnym problemem i dopisał pod datą drukowanymi literami: Korea, rejon Hoandzu, szpital Armii Ludowej. Podkreślił ostatnie słowa i powolnym, wyraźnym pismem ciągnął już bez przerwy dalej:

„Kochana Betty — Nie martw się o mnie. Było ze mną źle, ale wracam do zdrowia. Wiele przeżyłem i wiele zrozumiałem. Gdy wrócę, będę miał o czym opowiadać. I będę opowiadał, choćbyście nie chcieli słuchać. Wiem już, co do mnie należy.

Po wyjściu ze szpitala mam składać zeznanie przed specjalną komisją. Potem prawdopodobnie przekażą mnie do obozu jenców. Czasami w niewoli człowiek dojrzywa do zrozumienia prawdziwej wolności. Nie miałas racji. Wiem, że mnie nie rozumiesz. Ja sam jeszcze nie wszystko rozumiem. Nie martw się. Wszystko się wyjaśni.

Mówią tu o jakichś rokowaniach rozejmowych. Wkrótce może się zobaczymy. Jest ze mną Lenoch, ten o którym Ci pisałem z Kusanu. Ja nie jestem z nim. Przepraszam za niejasności. Pozdrów serdecznie matkę. Ona też nie miała racji. Ale o tym powiem kiedy indziej. Całuję Cię mocno, bardzo mocno, Twój Jack”.

Złożył kartkę we czworo i wsunął ją do koperty,

2.

— Ile wy macie lat, poruczniku Kerton? — zapytał wyraźnie rozniewiany Lenoch, ironicznie patrząc na zaklejona kopertę.

— Zachowujecie się jak mlókos. Dajecie się nabierać na stare kawały. Kto wam ten list wysłał? Ten okulamik? Tu, tu — pokazywał na dłoń — tu mi kaktus wyrosło.

Wstał z łóżka i utykając niezgrabnie, podszedł do Kertona. Zawisł nad nim jak studzienny żuraw. — Czas z tym skończyć, poruczniku Patryleem spokojnie, jak was uczył rosyjskiego ten Mac Gleen Patryleem spokojnie jak was zatrudnił swoją niby spokojną gadaniną ten żółtek w drucianych okularach. Nie wracałem się ani słowem. Myślałem, chłopak



CZĘŚĆ TRZECIA

1.

„Najdroższa Betty. Nie wiem, kiedy dostaniesz ten list. Nie jestem nawet pewien, czy w ogóle dotrze on do Twoich rąk. Tak wielki kawał święta dzieli nas przecież. Gnebi mnie myśl, że tam w Kalifornii macie mnie już za umarłego. Ostatni raz pisałem do Ciebie z Kusanu, na dwa dni przed lotem do Hoandzu. Od tego czasu minęły prawie trzy miesiące. Dostałem się do niewoli w połowie stycznia, a oto za kilka dni zacznie się kwiecień. Prawie miesiąc leżałem niemal nieprzytomny. Od sześciu tygodni wracam do zdrowia. Już od tygodnia zaczęłam chodzić. Jestem jeszcze osłabiony, wypruty z sił, ale jutro mam wyjść pierwszy raz z izby szpitalnej na świat, który zaczyna pachnieć wiosną.

Betty, jak tu o tym wszystkim pisać do Ciebie? ... opowiedzieć Ci wszystko, byś chociaż część zrozumiała, byś chociaż w przybliżeniu mogła pojąć, kim jestem, jakim powrócę, kogo przywitasz w Pasadenie? Chyba mnie nie poznasz. Wychudłem bardzo przez tę chorobę, zżarła mnie gorączka. Noszę długą, archaiczną brodę. Przecież te trzy miśsiące obrósłem

czyściła buty, że urządził uczy z tuczeniem szklą i kryształów, że Polak zaczął sobie robić masaż ciała przez żonę dyrektora, która musiała od tego ubierać się w najlepsze jedwabie — no i że zaprzyjaźniony się z Georgiem — synem Niemców, studentem medycyny, liberałem i cynikiem — wyprawiali razem różne hece.

— Umarł! — wiecie — pewnie baron wtedy, taki sam mason jak nasz Löwenholz. Do ich pałacyku cnotliwy Georg palił opium; zresztą to był jego pomysł — więc kiedy cały ten dostojny orszak ruszył z „Chinatown” — tak nazywał ich wille Georg — wiecie państwo, te konie ciągnące wysoki wóz pogrzebowy niby trójmaszowiec śmierci — pióropusze niby czarne choiny na łbach, wiecie — te grubasy w cylindrach — niech szlag trafi — tośmy ich zatrzymali i wszystkim za wyjątkiem pastora, kazaliśmy się rozbrać do naga. Rewolwerami zmusiliśmy ich by szli dalej. Nago w tych cylindrach!!! Geörg patrzył z daleka dostał kolek ze śmiechu. Wieczorem z tego powodu pękło dziesięć butelek „Chianti”...

Choć Marcjanna wnosila dopiero pieczone kurczaki, ksiądz wstał i zaczął się żegnać. Pani Zosia zatrzymała, Kazik, całe towarzystwo. Odezwał się pan Adam:

— Domyślał się, że z powodu mnie, ksiądz wybaczył. Choć ostatecznie nie ma co nad nimi rozczulać się, nad nami też nikt nie miał litości w obozie.

Zamieszanie spotęgowało się, gdy Radwańska, odsuwając krzesło dla wygodniejszego podania suchej ręki na dowidzenia, poszturchnęła Trautę, która w białym czepku na głowie i w białym fartuszkach szła z sosierką wprost do swej chlebowdawczyni. Wycierając się z ochlapania, szepnęła pani Zosi o Jacku który jest w sieni i chce klucza od brązowej szafy. W szafie tej chowano na dzień jego pościel, sypiał bowiem na kanapie w pokoju jadalnym.

— Po co? Powiedz, że nie dam. Jacek usłyszawszy odpowiedź, podważył drzwi szafy żelaznym hakiem i rozłożywszy szeroko koe zaczął nań kłaść poduszkę — pierzynę — te rzeczy należały do Zosi, kozuszek barani, trochę swojej bielizny; zwinął w cztery rogi, zarzucił na plecy; prócz tego zabrał dwie walizki, w których było chyba wszystko, co sobie wymarzył może dusza szofera, strolciela fortepianów, wreszcie przodującego majstra ziem odzyskanych, tzw. pioniera, który z niczego robi motory i uruchamia najbardziej skomplikowane mechanizmy systemem warszawskiej improwizacji.

Przepuścił wyprowadzanego akurata przez obydwoje gospodarzy księdza. Kazik szedł po schodach, towarzysząc gościowi aż na podwórko, Zosia zawróciła tłumacząc się chłodem. Wróciła z powodu Jacka. Zdumienie i alteracja zatchnęły ją. Zaczęła się scena, której istotą stanowił monolog, mający być zasadniczą charakterystyką szwagra:

— Jakież to dolinaria z Targówka, jakież łobuz i niewzdętnik, owszem, tam w pałacu możesz sobie legać z tą, z tą... Ale nie na mojej pościeli. Oddaj, no.

Próbowała go szarpać, lecz chyba tylko po to, by się przekonać, jak bezskuteczne w zetknięciu z twardą rzeczywistością było jej idealistyczne podejście.

— Albo to ja panu nie rodzina? Zarę panu pościele, dam talerz zacierki i będzie panu lepiej jak za przeproszeniem u wielmożnego pana Kazika. 'Cheba nie boi się pan? Tam, gdzie jest kaplica, zły duch nic nie może.

Wackowa wyraźnie rada przyjmowała gościa w progi pałacu jak prawowitą jego właścicielką, wyśoko urodzona, błękitnokrwista Hildegunda.

Parę minut później Jacek został wzięwany do zepustego motocykla księżowego. Okazało się, że obie opony tak samo ktoś poprzerzał piłą, jak tydzień temu opony Buldoga, do samych obręczy.

— Proszę też zbadać jutro co z motorem, bo nie można zapuścić. Nie, żadnej bryczki, proszę pana mowy nie ma, z przyjemnością przejdę tych parę kilometrów pieszo.

Wbrew oporom parę minut później wskoczył zgrabnie do bryczki którą ambitny Kazik kazał podstawić. Jacek zdecydował się powbić sam. Już miał siadać na miejsce opróżnione przez furmana, gdy Kazik podszedłszy do niego szepnął półgłosem:

— Oszalałeś z tą Niemką! Wyprowadza się! Idź, ty, oferma pospolita!

„Oferma pospolita” rzucana przez Kazika brzmiała wzruszeniem i

Nie wiadomo dlaczego powtórzyl: — Ja ich kiedy upoluję tych szwabów, zobacz ksiądz proboszcz.

— Kto to mówi — przemknęło nagle przez myśl Jacka — ja? No, a moja Gosslerówna — czy nie szwab? Takie pytania, do niespodziewanych ukłód igły podobne, pojawiały się ostatnio coraz częściej.

Wydawało się Jackowi, że jest parszywym człowiekiem z powodu tej Gosslerówny. Parszywym w swej rodzinie i w ogóle wśród wszystkich Polaków. Ba, więcej, że jego miłość do Annemarie jest nie tylko czymś bardzo hańbiącym pamięć ojca i matki, ale jest po prostu także grzechem wobec Boga.

JECHALI asfalem, wysadzonym czeresniami, których cienie podchodziły pod kopyta rosłego, unrowskiego „Belga”. Księżyc zalewał światłem wygodzone już całkowicie po wieczornym deszczu niebo. Jacek domyśliwszy się, że

bródnowski do tej nocnej jazdy bryczką na szosie oddalonej o paręset kilometrów od Warszawy...

Naszedł go moment jakiejś dziwności istnienia. Równocześnie jednak śmignął batem i poderwał konia. Potężny „belg” rwał teraz niczym atakujący nieprzyjaciela czołg. Zrodziło to w Jacku poczucie mocy i pewności siebie. Jeszcze przed chwilą przynębniony, z głową jakby wtkniętą w waluę się ruszowanie, nieuporządkowany w swych cheniach i uczuciach, obecnie zarzucił tamto wszystko. O co chodzi? Jadę se powozem, elegancie, po swojej ziemi, niczym graf Behrisch. O co chodzi? Polska wygrała wojnę i dlatego cała ta dookolotka ziemia jest moja, więcej moja niż było moim podwórko na Radymińskiej, gdzie na drążku trzepakowym zawieszam się jak mała, ciałem w dół. Moja jest szosa, mój ten świat aż tam hen, hen do owej jakiejś ważniackiej Nysy

— Księżu proboszczu, czy ksiądz się bardzo modli, bo ja chciałem powiedzieć, że ja się kocham w jednej Niemce.

Duch działania przewyższał w nim ducha kontemplacji. Huknął to zdanie wprost przed siebie i zaraz usłyszał z tyłu:

— Cóż robić, są takie sprawy na świecie.

— Prrr, co ksiądz robi, prrr. Ale nim zdążył zatrzymać rozpędzoną brykę, ksiądz Ryska wgramolił się dosyć zgrabnie z tylnego siedzenia na przód obok Jacka.

— Pan myślał, że dam się zastwydzić kawalerskiemu furmanowi... pan mówił coś o kochaniu: i słuszenie, piękna noc, czerwcowo tylko do takich nadaje się rozmów.

— Wie ksiądz proboszcz, tak się zebrało.

Przed paru laty, było to jakoś na drugi, trzeci dzień po pogrzebie matki, Jacek czekał na 25-tkę na rogu Marszałkowskiej i Alei, gdy zaczął go pijały człowiek; stracił kierunek; „jak jechać na Czerniaków tam czy siam z przystanku tego, śmego czy innego”. Czek był mocno podпиты, ale trzymając Jacka za guzik od marynarki, na tyle był trzeźwy, że zwierzył się dodatkowo i z innego Jeszcze kłopotu; musi gdzieś kupić puder „Baby” dla niemowląt. Choć zbliżała się godzina policyjna Jacek zaprowadził go do apteki, potem wsadził do tramwaju, odwodził, doprowadził pod dom. Wówczas przed tym pijanym przed tym nieznanym człowiekiem otwarł swe wnętrze jak przed nikim dotąd w życiu. Stał długo w ciemnej bramie; Jacek boleśnie trzeźwey, całując się z pijanusięńskim obywatelom, warszawskim dzielił się z nim swoją dołą, która po stracie ojca i matki, po wyjeździe Kazika do Przetorskich, u których ten miał już od dawna swój nowy dom, wychylała się ku chłopcu — nie posiadającemu ani zawodu, ani wykształcenia — prawdziwie sieroco. Gdy rozstrzelali ojca — nie płakał, przy trumnie matki — nie płakał, lecz teraz pękła w nim jakaś żyła żalności. Ułakił się świata, który miał dla niego tylko jedno oblicze — oblicze wojny... Jednak już najbliższe dni po tym zmęły ten lek i tę żalność kamienym kołem...

Zwierzenia dzisiejsze były mniej żywiołowe, choć równie szczerze. Opowiedział księdzu o swej sprawie z rodziną na tle miłości do Niemki, zaczął opowiadać o Asker-goltzu i jego kochance: „Nie wiem czy to jest możliwe — wie ksiądz — trochę chyba kochałem się w niej, ale i gardziłem nią... wreszcie zastrzeliłem k... Czy to grzech? Dlaczego się tak przypłatały do jego życia te Niemki? Tę teraz, a choćby była i nie wiadomo czym — kocha najprawdziej. „Czym, niech ksiądz powie — czym przeszkadzały ona Polsce; i dlaczego ta czysta, piękna moja Ani miałyby mnie poniżyć i czy ona jest winna, że moi rodzice zginęli od Niemców. Zresztą wszystkich bym szwabów powysyłał do diabła, za wyjątkiem...” Nie dokonywał zdania. Jego obecny stan psychiczny można było porównać do stanu skazującego się dziecka, któremu wyrządzono krzywdę. Potrzebował pociechy i rady, potrzebował wyjaśnienia tego wszystkiego w czym uczestniczył jako człowiek, jako członek narodu. W pewnym momencie ożywił się:

— Ona była dziw u księdza! Mówiła, że się wybiera do spowiedzi, z pewnością mówiła, żeśmy się całowali. Podobno to jest grzech. Jeśli chodzi o mnie już taki grzech niezdolny mnie zamazać. Już dawno cały jestem zamazany na czarno i nawet... ech, Boże...

— Czy mogę tego wszystkiego słuchać w znaku sakramentu? — rzucił niespodziewanie ksiądz Ryska do tej pory skupiony i milczący.

— Nie rozumiem księdza! Sakramentu? — Ech... no lata całe żyję

już bez tego... przecież ja z księdzem jak z człowiekiem. Zresztą co ksiądz, na bryczce, w nocy, bez ksiądzki do nabożeństwa. Poza tym... ani też mi się nie chce, ani nie wiem jak. Dlaczego mnie ksiądz tak napadł?

— Aby napadniętemu służyć pierw czym mogę najlepiej, a potem czym będę umiał...

— Księżu proboszczu, koń nas pnieście jak usłysz Muze lepiej stąd gdzie z bokul!

— Bracie!

Księżu już dawno przestał oświecać czuby drzew, mgły tylko jakieś rozwieszały na nich od czasu do czasu swe mleczne welony, a oni spacerowali przy bryczce zajęci sobą jakby nie istniała wokół nich ani nieogarniona okiem noc, ani niespokojna galaz czeresni, nosząca pod sercem zielone owoce, ani cma chybotliwa, ani miliardowe nad nimi światy gwiazdny czy ruszeplane jezioro żoź.

— ... I tak to można by i określić „przypadem”, gdyby nie pierwiastek przypadkowości, który tkwi w wnętrzu „przypadu” — ja tymczasem twierdząc, panie Jacku, że zarówno to przeżeganie, które pan przjął przed chwilą, jak i te obie Niemki w pańskim życiu, jak i nasz powrót tutaj na zachód — to wszystko nie są wcale rzeczy przypadkowe, mają swoje określone przyczyny, uwarunkowania, posiadają już i będą miały w przyszłości swoje określone skutki moralne, historyczne, bo ja wiem jakie jeszcze — ksiądz mówiąc to machinalnie głaskał kark koński. Jacek stał obok pałac papierosa. — Dokonują się niespodziewane dla nas procesy, w których uczestniczymy włącę lub mniej świadomie, zachodzą na siebie epoki, ustroje, narody. Dziś, powiem panu, posługując się porównaniem z medycyny wiek 20-ty jak główka stawowa pasuje akurat do odpowiedniego wgłębienia stawowego wieku 10-go; — myślę na przykład o tych ziemiach nad Odrą, nie były one dopasowane przez wieki do cudzego organizmu; kiedy końce stawowe kości nie są dopasowane następuje niewłaściwe tarcie i zapalenie. Zaś gdy idzie o ustrój — to nowy zachodzi na stary, biję go jak as bije dziesiątkę. Mocą nowego wydaje się jego słusność społeczna, słabością starego jego zwyrodnienie komercyjne, jego „kupuje, sprzedaje” w odniesieniu do idei, do religii, cnoty. Myślę, że też narzęście prawidłowo zaczyna się zachodzić na siebie naród polski i niemiecki, miłość i przyjaźń na nienawiść i wrogość. Obustronnie. Czy pan się ma żenić z Annemarię? Nie wiem, trzeba pomyśleć jak by się kształtował wasz dzień powszedni. Małżeństwo ma pomażać wartości, a nie zabijać. Poczucie narodowe też jest wartością. Ale nad wszystkim góruje miłość. Miłość umożliwia ofiarę. Na przykład przy wychowaniu dziecka, ponieważ — myślę tak, może się myle, panie Jacku — tylko jedną narodowość dziecko zdolne będzie przejąć od rodziców. Oczywiście trzeba by nauczyć szacunku i przyjaźni do narodowości drugiej strony. W zasadzie więc nic nie powinno przeszkadzać szczęściu dwójga ludzi naprawdę się kochających...

Jacek milczał. Ksiądz ogarnął szczerze linit, jasny płaszcz.

Potem zbliżył się przedko bardzo blisko do Jacka i wziął go pod rękę.

— Nie chcę pytać czy ta dziewczyna pana kocha, ani też czy miłość jej jest tak dojrzała jak miłość pana... Pan wiele przeżył.



Rys. Barbara Jonscher

Jacek wleździł, że znać ją tyle samo co „kochany chłopie”. Zwrot ten bowiem od dawna takli właśnie w rodzinie Brylków posiadał określony walor.

— Widzi ksiądz proboszcz to kółko ze swastyką furkoczę jeszcze; choć utracona jest już ręka, która je puściła w ruch — jednak wciąż ktoś z piekła dmucha, by się kreć... Ja to obserwuję, nie ma rady. Te lekki muszą wyjechać i to wnet. Dabym sobie rękę uciąć, że zrobiły to wyrostki od Henetzkii, Münzerowej i Guttmanki, którym przewodzi zdaje się, najstarszy syn dawniejszego młynarza grafowskiego. Ja ich choleroj, za przeproszeniem księdza proboszcza, upoluję kiedy, tych szwabów. Wio!

Zdanie wypowiedziane przed chwilą w półobrobie do księdza zostało skwitowane beztreściwym — No tak.

ksiądz się modlił po nieudanym zagajeniu rozmowy umilkł zupełnie. Na bryczce więc i w przyrodzie panowała cisza. Od czasu do czasu ogarniała jadących fala zapachów napływających z łąk. Często w ten subtelny zawiew aromatów wpadał kłab końskich gazów spalinowych, które zresztą wielu nosom ludzkim pachną milej niż jakiegokolwiek inne wonie natury.

Jacka opanał nastroj nieznośnego przynębnienia. Osiatecznie zaczął zatracać świadomość tego, czego chce, czego ma chcieć z czym ma walczyć. Miłość do Annemarie, walka o prawo do tej miłości, walka z samym sobą, potem walka z otoczeniem, dzisiejsze ostateczne rozejście się z rodziną, samotność, obojęt... Przebiegł myślami swoje życie. Od dziecięcych, opomienionych fantastyką wypraw na cmentarz

z gazet, moje te czeresnie i księżyc nad łąkami; szkoda, że nas nie widzą mama i ojciec. Właśnie po trochu i przez nich i z powodnich mamy tu swe prawo i swoje zwycięstwo. Ech, aby tu zaznaczyć siebie mało poprowadzić Buldoga na trawy i zboża, mało kosić i zbierać — to tak sobie Gossler może mówić „wszystko przemija — jedynie praca trwa” — praca owszem, lecz jeszcze trzeba czegoś, chyba trzeba kochać. Przeciagnął się — och kochać.

Tej Animate, to będę się musiał po prostu oświadczyć narzęście. Stary niech jedzie. Moja żona! Dziś byłbym porwał na niej tę wilgotną bluzeczkę parującą od gorącej jej ciała, szczęście, że uciekła. Z domu, proszę pana, Annemarie Gossler, cholera. Coś ty Jacuś zwirował? Niech będzie, żeby się tylko zgodziła.

się nudzi, niech go trochę zajmą, niech go zajmą nawet tym czerwonymi bredniami. Sam wie na pewno, co o tym sądzić. Ale dzisiaj powiadam wam sermo: czas z tym skończyć.

Kerton obserwował z dołu drgający kącik warg Lenocha i z dziwnym spokojem patrzył mu w oczy. Jak prawie zawsze nie odwykiwał się ani słowem. Lenoch tym razem był jednak bardziej podniecony.

— Powtarzam, najwyższy czas wziąć się w kupa, bo może być za późno. Trzeba zdawać sobie sprawę z tego, co się dzieje.

Przyśiadł na krawędzi łózka Kertonowi i ściszył głos. — Mam dokładne informacje. Jutro po południu zabierają nas ślad. My dwaj i jeszcze dwóch z obozu jedziemy przed te komisje. Jeszcze dzisiaj będą się tu działy rozmaite rzeczy. Zobaczą. Apeluję do waszego sumienia. Musimy uzgodnić swoje wypowiedzi.

Poderwał się z łózka jak oparzony. Z nierzuchomy mi ustami, lekko zmruczywszy powieki patrzył na śmiejącego się Kertonowi. Powoli odszedł w swój ką. Widać było, że zbiera się cały w sobie, aby nie wybuchnąć. W śmiechu Kertonowi jednak było tyle drwiny i pugarly, że — mimo wstępu — nie zdziwiał. Mówił niezwykle spokojnie, cisząc słowa przez zaciśnięte zęby.

— Dobrze. Trudno. Nie, to nie. Na głupotę nie ma rady. Działalem dla waszego dobra. Uważałem was za Amerykanina. Sami zdecydowaliście. Zapłacicie za to. Zdrada jest zawsze zdradą. Niezależnie od warunków. Za zdradę się płaci. Wiecie, jak. Nawet nie kulą, bo to za dużo. Zapamiętajcie to sobie.

Kerton przestał się już śmiać, ale w spojrzeniu miał tyle lekceważenia i kpiny, że Lenoch, rozpaczliwie usiłując zachować spokój, padł ofiarą tamowanej wściekłości. Poderwał się nowu na nogi, podbiegł ku Kertonowi, chwycił go za kłany i z twarzą przy jego twarzy pisał szklanym, zalamującym się głosem:

— Odmawiam ci miana Amerykanina. Z nas dwóch — Amerykaninem jestem tylko ja. Rzućmy, tylko ja! A ty... ty... bydlę! Zarazem komunistycznie bydlę!

Kerton rzucił głową wprzód. Uderzony zniechęca Lenoch zachwiał się i zatorzył ku swojemu łózku. Kerton stanął nad nim, roztrzęsiony nadmiernym wysiłkiem i odrzą. Pochylił się nad twarzą Lenocha i patrzył mu w oczy, powoli, z namysem, jakby plął na niego, rzucił jedno słowo, które tak mocno tkwiło w nim z zaropiałym, cierpkim bólem;

— Miru!

Za mało mu było zamkniętej w tym słowie pogardy. Ostro chlasnęła dłoń. W napiętej ciszy policzki brzmiał jak powtórzenie słowa. Lenoch rzucił się do bójki. Kerton poczuł wracającą słabość. Z ulgą odwrócił się ku otwartym nagle drzwiom.

— Co się tu dzieje?

Mac Gleen patrzył na pobladłe twarze. Przez chwilę zatrzymał wzrok na czerwonej plamie policzka Lenocha. Kertonowi wydało się, że pod niebem sierzanta zadrgał lekki uśmiech. Pozwolił, by Mac Gleen niby siłą odprowadził go ku łózku. Oklapnął na nim jak przekłuty balonik.

— To nie ma sensu, Kerton. Wam potrzeba sił, Tamten i tak niczego nie zrozumie.

Kertonowi dopiero teraz p. zysło na myśl, że zachował się zbyt porwocze. Nie żałował tego, ale jakoś było mu wstyd. „To ciekawe — ciągnął dalej w myśli bez związku — sierzant o Lenochu zawsze mówił jak o nieobecnym. Po prostu: tamten. Zupełnie, jakby go nie było między nimi”.

— Mam dla was dobrą nowinę.

Twarz sierzanta wyjaśniła się radością. Położył Kertonowi dłoń na ramieniu.

— No, Kerton. Jutro i ja z wami jadę. Właśnie dowiedziałem się o tym przed chwilą. Ja też przecież — wzroku mu pociemniał na chwilę — należałem do załogi B-26. Pojechałby z nami i Indor. Ale on już przed inną komisją. We dwóch będzie nam razniej, nie?

„Znowu tamtego nie liczy. Zupełnie jakby go nie było” — powtórzył w myśli porucznik. Nowina sierzanta bardzo ucieszyła go.

— I świetnie. Oczywiście, we dwóch będzie nam lepiej. Ale to już pewne? Jutro jedziemy?

— Jak dwa i dwa — cztery. Zakomunikowano mi to oficjalnie w komendzie obozu. Narzęście! Rzućcie człowiek z siebie ten brud. Powie, co i jak. Niech wiedzą. Niech dotrze to nawet tam, do naszych domów. Może i Mary usłyszyc.

Kerton pamiętał dzień, kiedy Mac Gleen opowiadał mu podczas jednej ze swoich niemal codziennych wizyt, o swoim domu. Mieszkał w Chicago. On był kaskówkarzem. Pewien nocny gość, zalany w pestkę kazał się zawieźć do lokalu gdzie są fajne kobiety. I Mac Gleen chciał mieć jak najdłuższy kurs. Zawiozł

go do „Niebieskiej orchidei”. Pijany pasażer był demokratycznie rozczulony. Zabrał szofera z sobą. Mac Gleen z nieufnością poddawał się urokowi przyćmionych światel. Niechętnie, ale później coraz bardziej biernie wypijał cholernie skomplikowane cocktails. Jego



rys. Andrzej Pol

klient zapłacił mu czterokrotną takse. Mac Gleen stracił go z oczu, gdy jakaś pół rozebrana dziewczyna odciągnęła eleganckiego faceta ku pokojowi z przyćmionym światłem. Już szedł ku wyjściu, zanępowany losom swojej taksiwki, gdy na korytarzu natknął się na dwóch facetów w smokingach, którzy

podszczypywali w pośladki lekko pijaną dziewczynę. Miała zbyt głęboko wycięty dekolt. Spojrzała na Mac Gleena zastraszoneym wzrokiem. Zawołał wtedy do niej po imieniu: „Halo, Mary, dlaczego tak późno?” Dwa wysmokingowani faceci zmierzyli szybko szerokość jego barów i gibkim, gumowym krokiem skierowali w koczny korytarz. Mac Gleen nie miał warunków, aby pozwolić sobie na bezpłatne kursy. Ale tamten facet, którego wiozł do „Niebieskiej orchidei” (co za głupia nazwa! Czy orchidea może być niebieska?) zapłacił mu czterokrotnie. Więc te sarniowką dziewczynę odwoził gratis. Zaprosiła go do siebie. Dziwiła się. Bo na prawdę nazywała się Mary. Dkładnie: Mary Blackford. Kerton pamiętał wprawoz Mac Gleena, gdy opowiadał mu — żądny zwierzeń — całą tę historię.

— Czy to tylko przypadek, poruczniku? Dlaczego ona nazywała się Mary? Skąd mi przyszło na myśl, żeby ją tak nazwać? I wie pan, wtedy, kiedy ją zabrałem z „Niebieskiej orchidei” — to u niej miał być ten pierwszy raz... Powiedziała mi to wtedy, kiedy odwoziłem ją gratisowo do domu. Mówiła, że ja ją, ech wie pan, takie rzeczy.

Mac Gleen ożenił się z Mary Blackford. Miał z nią dwoje dzieci. Chłopiec nazywał się Jim, dziewczynka — na jego prośbę — Mary.

Kerton spojrzal w twarz sierzanta. O której Mary on teraz mówi? O żonie, czy o córce? A może i o jednej, i o drugiej?

Lenoch poruszył się ciężko na łózku. Sierzant udawał, że nie słyszy zniecierpliwionego h ruchów tamtego. Był tylko z Kertonem.

— No, poruczniku. Uszy do góry. Damy sobie radę. Wpadłem tu tylko na chwilę. Muszę jeszcze pogadać z kompanami. Niektórzy obiecali mi swoje podpisy, jutro jedziemy...

Lenoch biady jak papier unosił głowę, głos jego brzmiał słodko, nasycony był nienawistną wątpliwością:

— Sierzanie Mac Gleen, czy pan jest zupełnie pewny swojego jutrzejszego wyjazdu? A może stanie się coś nieprzewidywanego? Nie ma pan żadnych przeczuć?

(ciąg dalszy nastąpi)

SZKOŁA ROZWAGI I WYTRWAŁOŚCI

WIELKIE napięcie nerwowe pierwszych dni konferencji minęło już dawno. Nadal jednak zmienne fale optymizmu i pesymizmu niemal co dnia przetrzucają obserwatorów z jednego nastroju w drugi. Przywykliśmy do tych zmian nastrojów — aranżowanych rozmów — i nauczyliśmy się im nie poddawać. Wbrew temu, co można by sądzić z daleka, prowadzimy tu uregulowany, monotony i pracowity tryb życia. Uczymy się zagadnień międzynarodowych a przede wszystkim cierpliwości. Ci, którzy czekali na szybkie czy ostateczne rozstrzygnięcia, muszą być zawiedzeni. Konferencję można by porównać do grupy alpinistów, która ma zdobyć trudny szczyt. Amatorzy wspinaczki znają to zniechęcające przeżycie, gdy z trudem osiąga się jakiś szczyt sądząc, że to już koniec wyprawy, a tymczasem dopiero otwiera się widok na następny łańcuch szczytów, które trzeba pokonać by osiągnąć zamierzony cel. Podobnie rozwiązanie jednego problemu stawia konferencję przed problemem następnym i stopniowo wydania się cały zawiły kompleks zagadnień światowych, które muszą kolejno zostać rozwiązane, aby na zasadach pokojowych utrwalić stosunki międzynarodowe. Droga do ostatecznego zwycięstwa pokoju jest długa, wymaga wytrwałości, wytrwałości, i jeszcze raz wytrwałości.

Miniony tydzień zakończył się mocnym akcentem optymizmu. Pamiętamy, że delegacje Związku Radzieckiego i Chin Ludowych od początku konferencji proponowały, aby między Francją i demokratycznym Wietnamem nawiązany został bezpośredni kontakt. Bidault nie chciał o tym słyszeć. Dwustronne rozmowy utrudniałyby bowiem umiędzynarodowienie wojny. W wyniku parokrotnych spotkań ministrów Molotowa i Edena ogłoszony został wspólny komunikat 9-ciu państw, w myśl którego przedstawiciele wojskowi Francji i Demokratycznej Republiki Wietnamu podjęli natychmiast rozmowy w Genewie oraz w terenie, poczynając od Wietnamu. Komunikat ten — będący zwycięstwem tezy radzieckiej i zdrowego rozsądku — został uzgodniony i przyjęty jednogłośnie. Podobno pewne zastrzeżenia zgłaszały tylko marionetkowe rządy Laosu i Kambodży.

Krótki wyjazd ministra Molotowa do Moskwy przyjęty został w kołach korespondentów jako zasłużone wytchnienie po ciężkiej i owocnej pracy. Reprezentanci wojskowi demokratycznego Wietnamu i Francji są już w Genewie i ich rozmowy powinny się zacząć jutro. W ten sposób po złamaniu sabotażu amerykańskiego i delegacji francuskiej otwarta została droga

do rozejmu. Choć będzie on olbrzymim osiągnięciem konferencji — bo jak uczy przykład Korei, raz zakończoną wojnę trudno jest zacząć od nowa — wyczerpie jednak tylko część zadań konferencji. Do tej pory nie rozpoczęto jeszcze poważniejszych dyskusji nad zagadnieniami politycznymi związanymi z przywróceniem pokoju w Indochinach. Rządy Francji i Stanów Zjednoczonych czynią wszystko, by utrudnić zapewnienie jedności, niepodległości, i demokracji narodom Indochin i by zachować sobie możliwość wszczęcia od nowa wojny, tym razem już na wielką skalę. Przed konferencją — po doprowadzeniu do rozejmu — stoi przede wszystkim zadanie uzgodnienia warunków politycznych przyszłości Indochin i stworzenia dostatecznych gwarancji zapewniających ich wprowadzenie w życie. Obok tych trudnych prac konferencja powróciła musi do sprawy Korei, która chwilowo stanęła na martwym punkcie.

SYMBOLICZNY BIAŁY KOŃ

NIE chodzi oczywiście o wierzchowca Andersa. Ani o nim, ani o jego jeźdźcę nikt tutaj nie słyszał. Chodzi o zachowanie się prasy amerykańskiej wobec niewątpliwych postępów prac konferencji. Jest ono naprawdę rozbrajające. Na przykład „Time”, jeden z niewielu amerykańskich tygodników politycznych, w dniu 31 maja wychodzi w okładce, na której widzimy fotografię białego konia z podpisem „Native dancer”. Ponieważ z reguły na tym miejscu figurują portrety głośnych polityków tygodnia, zaintrygowany czytelnik otwiera numer by sprawdzić, co ten konik symbol oznacza. Tymczasem „native dancer” jest zwykłym koniem, który wygrał wielki wyścig w Kentucky. Zajmujący się polityką „Time” poświęcił jego karierze wyścigowej 5 bitych kolumn, zaś o konferencji genewskiej ledwo wspomina. Można pogratulować właścicielowi! „Native dancer” wyróżnił nie tylko na derbiste, stał się ponadto najbardziej politycznym z wszystkich koni: symbolem impasu, w jakim znalazła się polityka Departamentu Stanu. Publicyści amerykańscy zajmujący się jeszcze konferencją, nie mogą się z sobą pogodzić. Rozsądniejsi, jak Lippman rozdzierają szaty nad głupotą Departamentu Stanu; jawni faszyci jak David Lawrence, czy bracia Alsop twierdzą naprzemiennie: raz, że konferencja „jutro” kończy się fiaskiem, bo z „komunistami” nie można rozmawiać, to znów, że świat komunistyczny jest znacznie potężniejszy od świata wolnego, dla którego ostatnią szansą ratunku jest natychmiastowe rzucenie bomby wodowej.

Zapytałem wczoraj jednego z dziennikarzy amerykańskich, co oznaczają te brednie, którymi karmi się miliony czytelników. Odpowiedział mi z zażenowanym uśmiechem: „Ach, nam to już też obrzydło, ale trzeba dodawać jakoś ducha swoim ludziom. Przecież pan wie co wszyscy już widzą — że nikt poza Niemcami Adenauera nie chce nikogo wyzwalać.” — To dodawanie ducha jest jednak zabawą do podur. Wobec nierealności paktu południowo-wschodnio-azjatyckiego — w rozpoczynających się w tym tygodniu w Waszyngtonie „azjatyckich rozmowach” wojskowych pięciu państw, nie zgodził się wziąć udziału żaden z krajów Azji. Zwolnienicy bezpośredniej interwencji w Stanach Zjednoczonych doprowadzeni więc do wściekłości, z pewnością nie raz jeszcze będą grozić bezpieczeństwu świata.

W Genewie Bedell Smith milczy i zajmuje postawę wycofującą, ograniczając się do opieki nad min. Bidault i ludźmi Bao-Daia. Jedyne swe dłuższe wystąpienie szef delegacji amerykańskiej poświęcił obronie zagrożonego rzekomo autorytetu ONZ-tu. Ta piosenka tak dalece jest ograna, że nawet „wielka” prasa zachodnio europejska oszczędziła swym czytelnikom lektury górnołotnych zwrotów Bedell Smitha. Jest bowiem publiczną tajemnicą, że pod pojęciem „obrony autorytetu ONZ w Azji” Departament Stanu rozumie upieranie się przy odsuwaniu Chin Ludowych od spraw Azji. Ten zaś upór nawet europejscy przyjaciele Dullesa uważają za ośmieszający... lecz nie Mao-Tse-Tunga.

Intencje Departamentu Stanu z pewnością nie uległy zmianie... Ale delegacja amerykańska musiała się już nieco zorientować, że jej postawa nie zyskuje jej sympatii w społeczeństwach europejskich. Charakterystyczna w tym względzie jest zmiana w stosunku do licznych delegacji francuskiego ruchu pokójku, przybywających do Genewy. Oto typowy przebieg wizyty w siedzibie delegacji amerykańskiej w dniu 17 maja zreferowany mi przez przewodniczącego grupy francuskiej, znanego działacza katolickiego:

Francuzom otworzyła drzwi jedna z sekretarek delegacji i nie wpuszczając ich na próg zapytała:

— Kim jesteście?

— Jesteśmy przedstawicielami ruchu pokoju z dzielnicy X w Paryżu...

— Nie chcemy nic o was słyszeć. Nie mamy nic wspólnego z komunistami.

— Chcieliśmy was o coś zapytać w imieniu tych, którzy nas wysłali. Reprezentujemy tysiące ludzi.

— Na żadne wasze pytania nie odpowiemy.

— Mamym wam również coś ważnego do powiedzenia.

— Nie jesteśmy ciekawi waszych informacji. Proszę się wynosić i zatrasnąć drzwi.

W sposób co najmniej tak brutalny większość delegacji w ogóle nie mogła dostać się do siedziby amerykańskiej — i tak kończyły się wszystkie wizyty delegacji ruchu pokójku, w skład których wchodził profesorowie, lekarze, adwokaci, artyści, robotnicy itd. Wszyscy ci ludzie oburzani składali sprawozdania w swoich okręgach, w jaki sposób przez różne delegacje zostały potraktowani. I nagle nastąpiła zmiana. Od trzech dni delegacja amerykańska z wyszukana uprzejmością przyjmuje francuskich obrońców pokoju.

To drobny szczegół. Małutkie zwycięstwo ruchu pokójku. Jest jednak przykładem, jak wytrwały nacisk mas zmusza do zmiany stanowiska najbardziej opornych.

KRYZYS FRANCJI TRWA

KILKASET delegacji francuskiego społeczeństwa odwiedziło już Genewę. Między deklaracjami, które składają delegacjom wielkiej piątki i demokratycznego Wietnamu, między tym, co nam mówią o nastrojach mas francuskich a pozycjami rządu francuskiego, istnieje głęboka przepaść, trudno więc sądzić, aby ten stan mógł przeciągać się w nieskończoność. W ostatnich dniach poważne różnice między rządem i parlamentem zaostrożne zostały zaognieniem się sprzeczności w tonie samego rządu Lanella, których przykładem może być dymisja gaullista Marc Jacquet, ministra do spraw „państw stowarzyszonych”. Jacquet nie mógł pogodzić się z nieuczciwą taktyką Bidault w Genewie i z decyzją rządu przeprowadzenia częściowej mobilizacji w chwili, gdy rząd ten rzekomo pragnie pokoju. Bezpośrednią przyczyną dymisji była afera tygodnika „L'Express”, której warto poświęcić trochę uwagi.

Nawet Mac Carthy nie mógłby podejrzewać „Expressu” o nadmierną postępowość. Redaktorem tygodnika jest Servan Schreiber, były współpracownik „Le Monde”, który przed paru laty rozszedł się z redakcją tego tygodnika z powodu większej sympatii, jaką miał dla polityki Departamentu Stanu niż redaktor naczelny tego pisma. Rok temu Servan Schreiber zrewidował swe poglądy i założył tygodnik „L'Express” zblizony politycznie do „Le Monde”, grupujący prawicowe elementy tzw. narodowej burżuazji. Reprezentatywnymi dla poglądu pisma są jego najbliżsi współpracownicy, gaullista Soustelle, kandydat na premierów François Mitterrand i Mendes-France, Mauriac, a nawet ojciec „małej Europy” Robert Schumann. Ostatni numer „Expressu” został w całości skonfiskowany i redakcji wytoczono sprawę o zdradę tajemnicy wojskowej. Jakiej tajemnicy? — Po prostu miarodajni ludzie życia politycznego Francji, współpracownicy „Expressu” ogłosili na lamach pisma fragmenty raportu złożonego radzie ministrowi przez generałów Ely i Salan po ich powrocie z inspekcyjnej podróży do Indochin. Rząd nie chciał, by prawda o sytuacji w Indochinach dotarła do opinii publicznej. Bał się również sprzeciwu, jaki kroki mobilizacyjne wywołają we Francji. Min. Jacquet, bliski redakcji „Expressu”, uważał jego konfiskację za dowód dalszego oszukiwania opinii publicznej i niedopuszczalny skandal. Trzeba przyznać, że cała prasa francuska ostro zaprotestowała przeciwko metodom rządu. Dzienniki w Genewie są nielicznymi posiadaczami raportu Ely-Salan i o ile wiemy, prasa polska miała możliwość opublikowania jego ciekawych fragmentów. Istotnie, sytuacja wojskowa i polityczna Francji w Indochinach w jego świetle przedstawia się rozpalnie, przede wszystkim zaś kolonialny charakter indochińskiej wojny — pozbawiony jakiegokolwiek poparcia ludności Indochin — ukazuje się w całej pełni. Widać też, że rząd francuski prowadząc rozmowy pokojowe, równocześnie szykuje wojnę.

Znakomity publicysta francuski André Ulmann pisze w ostatniej „Tribune des Nations”: „Bidault trochę zbyt często powtarza swoim bliskim — na przykład księciu Bullock, gdy chce podnosić go na duchu — że celem jego pozostaje prowadzenie wojny, że wojna jest rzecz nieunikniona, nawet wojna między Amerykanami i Rosjanami i że chodzi o to, by za każdą cenę uzyskać opiekę wojskową Stanów Zjed-

noczonych nad Francją tak w Azji jak i w Europie.” Ulmann przytacza rozmowę z jednym z kolegów min. Bidault w Paryżu, który twierdzi, że jedynym jego celem jest całkowite podporządkowanie Francji na drodze dalszego prowadzenia i rozszerzania wojny polityce Departamentu Stanu, bo jest to jedyny sposób, aby Bidault i jego stronnictwo, chrześcijańska demokracja francuska, utrzymali się przy władzy... Publicysta francuski dodaje od siebie: „Wiemy jak poważnie mogą brzmieć te oskarżenia odnoszące się do naszego ministra spraw zagranicznych, lecz czy warto w ogóle pisać i być świadkiem wydarzeń, gdybym nie pisał tego, o czym wiem, że jest prawdą i na to mam aż zbyt wiele dowodów”.

Wobec dzisiejszej debaty indochińskiej w parlamencie, Bidault odegrał komedię przekształcania się w „anioła pokoju” i dbał o to, aby w Paryżu wiadziano, że zdecydował się przywitać z min. Czou-En-laiem. Równocześnie na zamkniętych zebraniach jak mógł utrudniał i odwręcał uzgodnienie warunków rozejmowych a na terenie Francji stał się animatorem szerokiej akcji dywersyjnej przeciwko odpreżeniu międzynarodowemu. Różne są środki tej dywersji. Kampania na rzecz ratyfikacji europejskiej wspólnoty obronnej i związany z nią manewr ideologiczny MRP Teitgena w sprawie Saary, kongresy SFJJ i MRP, inspirowanie artykułów jak np. artykuł Fontaine'a w „Le Monde” w całkowicie fałszywym świetle przedstawiającej sytuację w Genewie, politykę Edena i zamiary Indii; szerzenie pogłosek o nieuniknioności podziału Wietnamu itd. itd.

Słusznie powiedział delegat demokratycznego Wietnamu Hoang-Wang-Dong — przedstawicielem prasy polskiej, że jedną z trudności konferencji genewskiej jest konieczność stałego zmuszania min. Bidault do ustępowania pod naporem rzeczywistości, bo przyjechał on tu by mówić nie w imieniu Francji, lecz w imieniu amerykańskich interwentów.

COMMONWEALTH NIE BĘDZIE 49 STANEM USA

ZA wcześnie jeszcze na ocenę całej polityki angielskiej w Genewie. Rozbieżność między Edenem a Bedell Smithem i Bidault wydaje się coraz poważniejsza. W Brytanii nie zrywając kontaktu ze Stanami Zjednoczonymi — np. bez entuzjizmu ale bierze udział w waszyngtońskich rozmowach wojskowych — nadal prowadzi swoją akcję medialną, która powoduje ciągły wzrost sprzeczności anglo-amerykańskich.

Zamiast rozgłaszanej wszem wobec interwencji amerykańskiej w Indochinach byliśmy świadkami interwencji Indii w Genewie. Trudno powiedzieć, czy wystąpienie Indii było sugerowane przez dyplomację brytyjską, czy też odwrotnie Anglia musi się liczyć z wagą głosu Indii. W każdym razie między interwencją amerykańską a hinduską istnieje zasadnicza różnica. Po wizycie Menona uciekło jakoś o pakcie południowo-wschodnio-azjatyckim.

Polityka Anglii jest zapewne warunkowana potrzebą cementowania „Commonwealthu”, która wymaga leczenia się z nastrojami narodów pozaeuropejskich. Podróż królowej Elżbiety dookoła świata upełniła zdaje się Brytyjczyków w przekonaniu, że „Commonwealth” ma jeszcze dużą rolę do odegrania, i że nie ma powodów przemieniania Foreign Office w wydział Departamentu Stanu.

Z pewnością też na postępowanie min. Edena wpłynęła opinia publiczna Anglii. Decyzja kierownictwa Labour Party z Atlee i Bevanem na czele udania się do Chin Ludowych — wobec prawdopodobnego zwycięstwa Labour Party w następnych wyborach wskazuje, że politycy angielscy zaczynają poważnie brać pod uwagę konieczność pokojowego współżycia różnych systemów politycznych na świecie. Na najbliższy zaś okres chcą pokrzyżować interwencyjne zamiary Ameryki, które, niosąc z sobą niebezpieczeństwo wojny powszechnej, oznaczają by musiały koniec „Commonwealthu”, a być może i samego istnienia Anglii.

I. AUREACI

KAROLA WIELKIEGO

JAK cenna jest w tej chwili każda mediacja, wskazują obłąkańcze głosy, które raz po raz podnoszą się w różnych punktach Euro-

py i Stanów Zjednoczonych. Historia nazwie zapewne współczesnych wielbieli Karola Wielkiego klubem obłąkańców. Niestety, rekrutują się oni spośród reakcyjnej części świata katolickiego. Wybitnymi przedstawicielami tego klubu są Bidault i jego przyjaciele: Franco i Falanga Hiszpańska, Scelba, de Gasperi i od czasu do czasu hrabia della Torre, redaktor „Osservatore Romano”, wsławiony wizją Joanny d'Arc w Dien-Bien-Fu. Na przeszłość jednak kandydują obecnie z równymi szansami kardynał Spellman i kanclerz Adenauer. Pierwszy wśród tych zwolenników krucjaty wzywa do kultu Legii Cudzoziemskiej i zlikwidowania wszystkich komunistów i ludzi postępowych w wolnym świecie; drugi, uprzedzając życzenia pierwszego, arestując Niemców sprzeciwiających się remilitaryzacji i zamyka w więzieniu tych samych ludzi, którzy przeżywali tam za czasów Hitlera. Reakcyjne katolickie pisma jak np. „France catholique” czy „La semaine religieuse de Paris” pieją z zachwytem. Fundacyjna Europa strassburska uważając się za Europę katolicką ufundowała w zeszłym roku nagrodę im. Karola Wielkiego. Przed paru dniami nagroda ta przyznana została największemu Europejskiemu i obrońcy chrześcijaństwa — Adenauerowi.

Wszystko to razem nie jest wcale śmieszne. Francuski publicysta katolicki Ferry pisze słusznie: „Bohaterskie wykrycia hrabiego rzymskiego i amerykańskiego kardynała znajdują u nas echo i stają się argumentem dla pewnej prasy...” Jeśli wezwania do krucjaty rzucane z zewnątrz i bojowo skandowane oznaczają wykorzystanie w sposób niedopuszczalny dramatu Dien-Bien-Fu i odczuwane są przez Francuzów jako obraza i jak zagrożenie, to chrześcijaństwo czuje się ponadto uderzone w samą treść swojej wiary. Jest w najwyższym stopniu przykre słyszeć z ust kardynała bezwzględne potępienie polowy świata, nieduznaczne traktowanie na jednej płaszczyźnie Eisenhowera i Ojca Świętego, machnięcie ręką w stosunku do pokojowych propozycji drugiej strony...

Podobnie ostro potępił skandaliczne wystąpienie Spellmana Mauriac i przeważająca część opinii katolickiej w Europie. Ale gdy w sobotę z okazji uroczystości kanonizacyjnych Piusa X papież złożył życzenia powodzenia pod adresem konferencji genewskiej, „wielka” prasa, która z „religijnym” zapalem cytowała redaktora „Osservatore Romano” i amerykańskiego kardynała, jakoś nie zauważyła tych pokojowych słów.

Głęboko antychrześcijańska i antypokojowa — a w obecnych warunkach i antyludzka — postawa przywódców europejskiej i chrześcijańskiej demokracji i pewnych dostojników Kościoła typu kardynała Spellmana czy biskupa sufragana Wiednia Jachyma nie tylko obraża uczucia wiernych i szery zamęt w umysłach, ale jest również realnym zagrożeniem pokoju.

Tym poważniejsza odpowiedzialność spada na katolików walczących o pokój i postęp, którzy w coraz większym stopniu bronią również autorytetu religii.

Notatnik polityczny

O JEDNOŚĆ KOREI

Korea, kraj ongiś niezawisły, była przez wiele wieków przedmiotem walk konkurencyjnych między Chinami a Japonią, która ostatecznie uzyskała przewagę. Lud koreański prowadził zaciętą walkę, (nie bez działań partyzanckich) przeciwko ciemiężcom japońskim, aż ich klasa militarna podczas II wojny światowej otworzyła przed narodem koreańskim perspektywę lepszej przyszłości.

Na moskiewskiej naradzie 3 Wielkich Mocarstw, w grudniu 1945 r., uzgodniono powstanie zjednoczonego, demokratycznego państwa koreańskiego i powołanie w tym celu Rządu Tymczasowego, czym miała się zająć specjalna komisja radziecko-amerykańska. Chwilowo stworzono dwie strefy okupacyjne: północną — radziecką i południową — amerykańską, z misją likwidacji skutków panowania japońskiego i przyczyniania się do rozwoju gospodarczego i kulturalnego kraju.

Wprowadziliśmy swe wojska do Korei pod pretekstem rozbrajania Japończyków, Amerykanie nie myśleli bynajmniej o wycofaniu się stamtąd i starali się przekształcić Koreę południową w swój strategiczny przyczółek na kontynencie azjatyckim. Dlatego sabotali oni uchwały moskiewskie o zjednoczeniu Korei, a na komisji radziecko-amerykańskiej odrzucali wnioski ZSRR o wycofaniu obu wojsk okupacyjnych, uniemożliwiając powołanie demokratycznego rządu tymczasowego Korei. Ostatecznie zerwali pracę tej komisji odwołując się, dla przykrycia swych planów, do autorytetu zgromadzenia ogólnego ONZ. Powołana przez mechanizm większości bloku amerykańskiego, wbrew ist-

nującym umowom międzynarodowym, komisja koreańska ONZ poszła po linii faktycznego przedziału podziału Korei na dwie strefy, zgodnie z intencjami imperialistów amerykańskich. Pod osłoną nielegalnej komisji ONZ stworzył oni separatystyczny rząd południowo-koreański pod przewodnictwem związanego z kapitałem amerykańskim reakcyjnego emigranta politycznego Li - Syn - Mana, który przeprowadził w dniu 10 maja 1948 r. wybory w Korei południowej na podstawie antidemokratycznej ordynacji wyborczej i w oparciu o bagnety wojsk Stanów Zjednoczonych zapewnił sobie większość mandatów.

Na te antynarodowe poczynania lud koreański odpowiedział wzmocnioną walką o wolność i zjednoczenie. W 1948 r. odbyły się w Phenianie dwie ogólnokoreańskie konferencje stronnictw i organizacji demokratycznych, na których zaproponowano utworzenie centralnego rządu z udziałem przedstawicieli Korei północnej i południowej oraz odbycie prawdziwie wolnych wyborów w całym kraju dla ulegalizowania zjednoczenia. Gdy li synmanowcy odrzucili wszystkie te propozycje — przeprowadzono wolne wybory w Korei północnej, podczas których pełny sukces odniósł Zjednoczony Demokratyczny Front Narodowy Korei z Partią Pracy na czele. W wyniku tych wyborów powstała Koreańska Republika Ludowa - Demokratyczna kierowana przez rząd pod przewodnictwem Kim-Ir-Sena. Związek Radziecki uznał ten rząd narodowy i wycofał z Korei północnej swe wojska okupacyjne.

Sukcesy gospodarczego i kulturalnego budownictwa Koreańskiej Republiki Ludowej - Demokratycznej oraz głoszone przez nią hasła narodowego zjednoczenia kraju znajdowały żywe echo w całym narodzi-

ku koreańskim, toteż klika li synmanowska, chcąc ratować swą władzę, poszła na awanturę militarne opanowanie Korei północnej, w czym znalazła pomoc wojskową USA starających się ukryć swe cele imperialistyczne pod sztandarem nielegalnej, wspólnej akcji ONZ.

Obecnie, po zawarciu rozejmu w Korei, problem zjednoczenia kraju stoi znów na porządku dziennym. Na konferencji genewskiej przedstawiciele Korei Ludowej zgłosili wniosek przeprowadzenia w całym kraju wolnych wyborów, które wyłoni rząd zjednoczonego państwa koreańskiego. Chcąc wykażać swą dobrą wolę zgodzili się oni nawet, dla ułatwienia kompromisu, na powołanie komisji neutralnej, która by kontrolowała te wybory. Jednakże Amerykanie nadal nie chcą dopuścić do zjednoczenia Korei i z ich inspiracji rząd Li-Syn-Mana zajmuje stanowisko nieprzejednane, domagając się po prostu przyłączenia Korei północnej do swego marionetkowego państewka.

Aby jeszcze bardziej podkreślić swe prowokacyjne stanowisko przeprowadził on ostatnio nowe wybory polityczne w Korei południowej — dzięki terrorowi politycznemu — ponownie uzyskał większość. Sam Li-Syn-Man wręcz oświadczył, że nie dopuści do zjednoczenia się Korei na podstawie wolnych i demokratycznych wyborów oraz grozi, że jeżeli konferencja genewska nie uwzględni jego postulatów, to rozpocznie znowu działania wojenne przeciwko Koreańskiej Republice Ludowej-Demokratycznej.

Naród koreański nie boi się jednak gróźb. W ciągu trzytygodniowej ciężkiej wojny dowiódł on swej siły i wie, że cała postępowo opinia świata najpełniej popiera jego słuszne dążenia do pokojowego zjednoczenia kraju na podstawach demokratycznych, s.d.



Wysłać Biuro Sprzedaży „Pax” Warszawa Mokotowska 43 za licznym pocztowym lub po wpłaceniu należności na konto PKU W w 18515/114. Przy wpłatach na PKO prosimy dołączyć zł 3 na koszt presylni.
Do nabycia we wszystkich sklepach „Veritasu”.

„JULIUSZ I ETHEL”

CZASY najnowsze wydały zjawisko paradoksalne: zjawisko „zbrodni stanu”. Zaczęło się w r. 1894 od „Sprawy Dreyfusa” we Francji. Potem na amerykańskim krześle elektrycznym zamordowano Sacho i Vanzettiego. Jeszcze później przyszło podpalenie Reichstagu i proces Dymitrowa, a za nimi ponury ciąg publicznych zbrodni historycznych.

Lecz „zbrodnia stanu” prawie nigdy nie spełnia pokładanych w nich oczekiwań, ich potężny i zamierzone rozgłos prawie zawsze obraca się przeciwko samym ich sprawcom.

Tak stało się również w sprawie ostatnich ofiar amerykańskiej sprawiedliwości, Juliusza i Ethel Rosenbergów. Jeszcze za ich życia, ich sprawa zjednoczyła ludzi dobrej woli na całym świecie. Dziś nie upłynął nawet rok od tragicznej daty 19 VI. 1953, a ich śmierć natchnęła niezliczoną ilość pisarzy, poetów, dramaturgów. Zachód stworzył już wczesniej osobny gatunek teatralny: „comédie de justice”, „horror-comedy”, którym jako wyrazem protestu odpowiadał na komedie kapitalistycznej i faszystowskiej sprawiedliwości. Gatunkowi temu przybyło przez rok, na Zachodzie i na Wschodzie, pięć sztuk poświęconych samej tragedii Rosenbergów. Jedną z najbardziej ambitnych wśród nich jest sztuka laureata Światowej Rady Pokoju, Leona Kruczkowskiego, *Juliusz i Ethel* której prawykonywanie ujrzeliśmy w Teatrze Kameralnym.

Sprawa Rosenbergów, jak wcześniej już proces Dymitrowa czy śmierć Fuczika, odsłoniła jako odwrótną stronę wielkiej zbrodni — wielkie bohaterstwo. Wobliczu kontrastu tak ostrego sumienie zbiorowe reaguje z większą niż zazwyczaj siłą. Tajemnica bohaterstwa przewyżniającego śmierć nie przestaje fascynować wyobraźnię. Z pomocą pisarzy ludzkość sięga wówczas do ostatnich podstałów swego moralnego bytu. Te wysoką miśową funkcję spełnia również dzieło Leona Kruczkowskiego. Nie jest ono tylko prostą relacją czy okolicznościowym holdem złożonym bohaterem. Jest pełnoprawnym i dojrzałym dziełem sztuki, wspaniałe uogólnionym, o powszechnej etycznej wymowie, trafiającym w węzłowe punkty ideowych starć epoki.

Kruczkowski odkrywa nam niejako na nowo trudną ludzką wolność. I zwycięsko przeciwstawia ją aparatowi przemocy ponurego, wrogięgo prawdziwemu człowieczeństwu ustroju. Spójrzmy na przedstawicieli tamtego świata. Dozorcy, Greenglass, Dyrektor więzienia, Prokurator — wszyscy oni czują na sobie nacisk straszliwego determinizmu, przybierającego dwojakie oblicze: biologiczne i ekonomiczne.

Ich światem rządzą instynkt, pieniądz i strach, ich państwo działa w imię tych samych sił. Nawet tam gdzie przejawia się odruch sumienia znajdującego ludzką wolność, rozgrzesza je racja stanu jako instancja najwyższa — Sędzia stanie przed nami w V odsłonie jako na swój sposób tragiczny jej męczennik. Jakież zdumienie budzą we wszystkich tamtych ludziach osoby jak Juliusz i Ethel, „wolni, jak jeszcze nigdy — tak wolni, jak tylko człowiek może być wolnym”, nie poddający się żadnemu z przemocy determinizmów, zaświadczeni czynem swej wierze w zapanowanie ludzkości nad instynktem, pieniądzem i strachem. Lecz to, co ich podtrzymuje, co jest źródłem ich odwagi, nie jest niczym innym, jak wiarą w obiektywną, trwałą i powszechną ważność naczelnych ludzkich idei moralnych.

— Podobno ludzie umierający wierzają czasem — mówi Ethel — że świat umrze razem z nimi. Nigdy nie mogłam tego zrozumieć. Czyż nie piękniej jest wierzyć, że będzie istniał dalej — w złym i w dobrym... nie! W dalszej walce dobrego ze złym, prawdą, Juliuszu?

— Tak, kochana. I my będziemy istnieć dalej, poza śmiercią!

Ustami swych bohaterów Kruczkowski potwierdza radosny fakt ludzkiej wolności oraz nieustannie trwającej walki dobrego ze złym. Zaprzecza zaś etycznemu relatywizmowi. W *Juliuszu i Ethel* widzimy, jak relatywizm ten z uświęcającą jasnością amerykańską „racją stanu” przekreśla wszelką praworządność. Dla Prokuratora sprawiedliwość nie jest „sentymentalną abstrakcją”, jej wymiar jest dla niego „walka na śmierć i życie”. Wkładając te słowa w usta amerykańskiego neofaszysty, Kruczkowski wyraźnie określa własną postawę. Polega ona na wierze w tworzącą moc prawdy i dobra. W tym sensie *Juliusz i Ethel* jest w swej istocie „tragedią optymistyczną” — tak jak jest nią *Księżniczka Niezłomny* Calderona czy współczesne dzieło Wisniewskiego pod tym właśnie programowym tytułem.

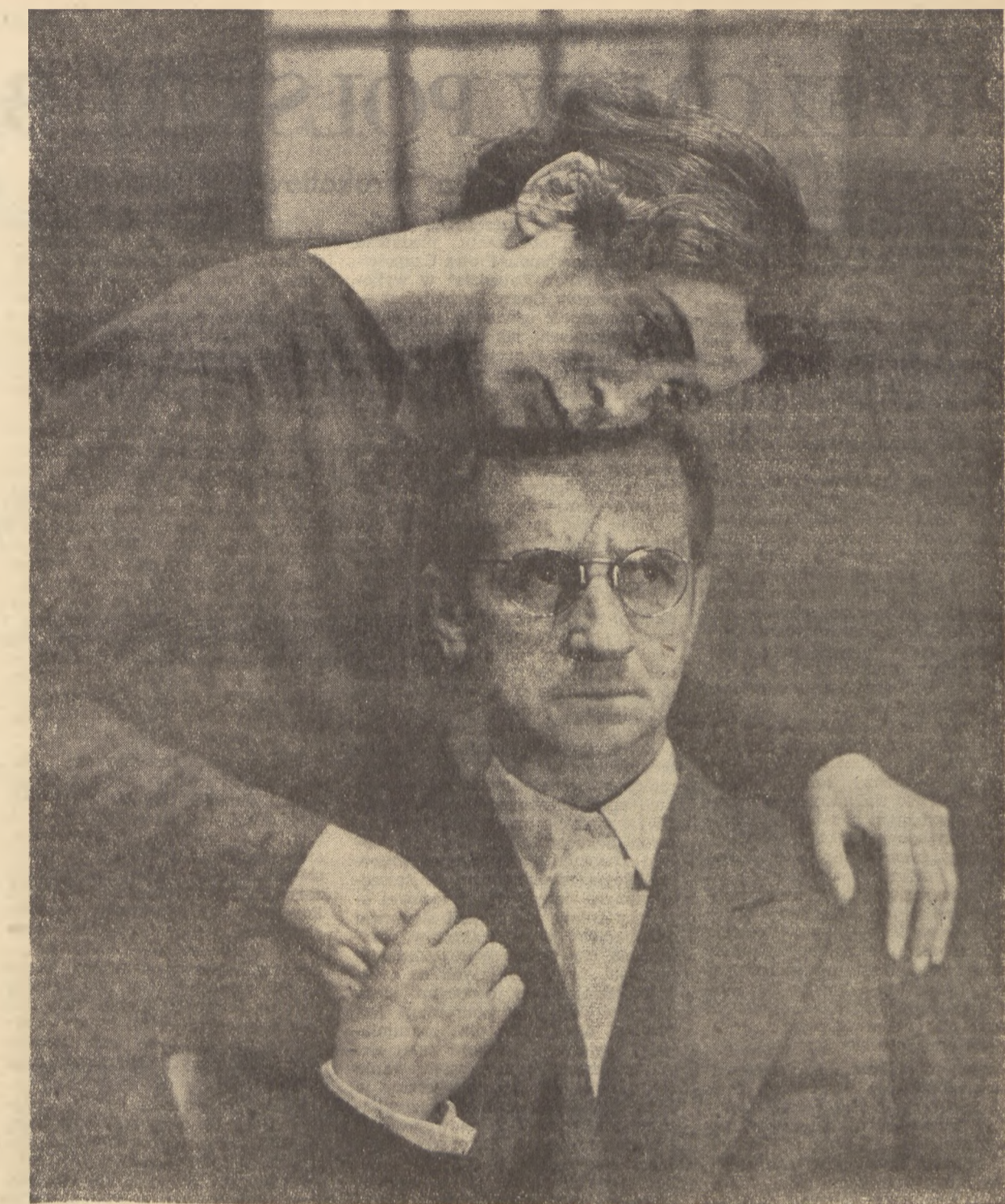
PRZYOBLEKAJĄC dramaturgię Rosenbergów i zawarty w nim konflikt dwóch przeciwstawnych postaw w formie scenicznej, Kruczkowski bardzo odległ od szablonu naszej powojennej dramaturgii. Nawiązał w pewnej mierze do współczesnego dramatu francuskiego, sięgając wraz z nim poniekąd i do atmosfery wczesnej tragedii antycznej z jej przedwidzą wydarzeń scenicznych i poetyckim charakterem teatralnego misterium. Dążąc do maksymalnej koncentracji akcji miejsca, czasu, Kruczkowski poszedł drogą niełatwą, narzucał sobie i odbiorcom szereg trudności, z których wspomniana „przedwidza” zakończenia nie była jedyną

Zrezygnował na przykład z możliwości teatralnych, jakie dawała rozprawa sądowa, i zamknął dramat w sześciu ostatnich godzinach życia Rosenbergów w więzieniu. Co więcej, zamiast prezentować swych bohaterów jak najbardziej poprzez działania innych postaci, a ich samych — zgodnie z psychologicznym prawem ludzkiej słabości, nie znoszącej długotrwałego bezpośredniego ciśnienia patosu — ukazać raczej w krótkich, skondensowanych wystąpieniach, autor przez cztery z sześciu odsłon postawił widza naprzeciw głównym postaciom dramatu, kończących w celi we dwoje swą grę życia, miłości i śmierci. Oczywiście, prawo psychologiczne nie dało się wyminąć i dwie odsłony w gabinecie dyrektora więzienia odczuwał widz jako nie tylko żywsze i „odciążające”, lecz nawet szczególnie wymowne.

A jednak sztuka dramaturgiczna Kruczkowskiego wyszła zwycięsko i z ataku wprost na tajemnicę ostatnich, przedśmiertnych godzin. W pierwszych odsłonach — przede wszystkim dzięki mistrzowski skonstruowanym spłomom dramatycznym; w ostatniej — dzięki wytworzonymu nastrojowi poezji, wspomnień, wizji przyszłości. Jednemu i drugiemu w sposób niezawodny służy język i dialog sztuki, piękny w swej intelektualnej klarowności, aforystycznie zwężony, nasycony ideową treścią. Nabrzmiewał on na przemian lirycznym wzruszeniem i ezlachetnością myśli, gryzącą sarkastyczną ironią, oburzeniem i protestem.

Dramaturgia *Juliusza i Ethel*. W czym tkwi jego największa wartość? — Chyba w jego oszczędności, dyskrekcji, uzewnętrznieniu, w potwierdzonym za Goethem „mistrzostwie samograniczenia”. Tam gdzie inny autor mnożyłby scenerie, wciągał całe grupy ludzkie, Kruczkowski ograniczył akcję do dwóch dekoracji, do kilku postaci. I raz tylko skonfrontował bezpośrednio głównych protagonistów skąpej akcji — w rozmowie Prokuratora z Ethel po zainstalowaniu telefonu na samym początku szklud. Jest to wzór wdrożenia akcji, dramatycznego „alea lacta”, podobnie jak i ekspozycji, zreczenie wsuniętej w dialog już nieoszczędnie. Później Rosenbergowie pozostają na scenie sami ze sobą, wrogowie zaś co najwyżej rozmawiają z ich obrońcą. Lecz mimo to czujemy, jak w każdej chwili dramatu starcie trwa. Dramatycznym medium staje się telefon, zegarek, martwe przedmioty, zyskujące sens żywej obecności — Kruczkowski wygrał ten sens znakomicie.

W III odsłonie Kruczkowski cofa się, aby scenie z telefonem, widzianą już od strony celi, ukazać ponownie w gabinecie Prokuratora. Ta scena mówi wiele o typie tej



Halina Mikołajska (Ethel), Tadeusz Kondrat (Juliusz)

dramaturgii. Kiedy telefon dzwonił po raz trzeci i jest to „ten” telefon, wiemy, co Prokurator usłyszy a przeciw powstaje nowe, niczym nie zmniejszone, raczej jeszcze zwiększone napięcie dramatyczne. Polega ono na tym, że ponad to, co zewnętrzne, wybija się tu obraz moralnej walki. Pod przedwczesnie triumfującym spojrzeniem Prokuratora Obrońca „odwraca oczy spuszcza głowę nisko na pierś”. W ich duszach trwa napięcie ku stłumieniu lub też utrzymaniu wiary w człowieka. To uzasadnia napięcie widza.

Jest jeszcze wstrząsająca scena z Greenglasem. Kruczkowski objawia tu jakiegoś niemal bernanosowskiego

wyczucie prawdziwości i ostatecznych konsekwencji zła, tego zła, które niejako musi urągać dobru. I jak w III odsłonie poruszył widza obrazem zwycięstwa dobra, tak tu wstrząsa obrazem moralnej ochłani, zwierzęcości wykorzystywanej przez ahumanistyczny społeczny ustroj. Tak dramaturgia Kruczkowskiego, postępując — podobnie jak wcześniej już w *Odetach* i *Niemcach* — spieczęta przede wszystkim moralnymi, służy też ostatecznie etycznej koncepcji ludzkiego życia.

REZYSER przedstawiła w Teatrze Kameralnym. Aleksandra Bardini, słusznie dał przed wszystkim do wydobycia maksimum z

samemu tekstowi pisarza tak świętego i tak znaczącego teatr jak Kruczkowski. Położył główny nacisk na słowie, na dialogu, sprawił, że brzmiał on dobitnie i czysto i w całym swym intelektualnym bogactwie dochodził do widza. Reżyser wypłynął w ten sposób podstawa obowiązków wobec sztuki o takiej osobności ideowej jak *Juliusz i Ethel*. Lecz sztuka taka, bęgać zarazem, jako konfrontacja moralnych postaw, w wysokim stopniu sztuka dyskusyjna, łatwo też zmienić się może — (przy całym napięciu dramatycznym wielu scen) — w sztukę rezonerską i koturnową, w infację dydaktyczną. Jak przeciwdziałał temu reżyser?

Między innymi przez nadanie — przede wszystkim bohaterom tytułowym — cech jak najbardziej ludzkich, cech prostoty i naturalności. Osiągnął to w bardzo wysokim stopniu w wypadku Ethel — Haliny Mikołajskiej, a także Juliusza, z której mocownością i liryzmem, trafiając do głębi, brzoźniej (językowo) intelektualizm Juliusza — Tadeusza Kondrata. Mikołajska była znakomicie głosowa, z tym jakimś pęknięciem w głosie, właściwym ludziom skazanym, i bodaj jeszcze znakomicie grała mimicznie, pełną uśmiechu, operującą szczególnie wymownie uśmiechem bezbronnym, cierpliwym, przepojonym tkliwością. Wśród kreacji tej świętej artystki, o którą jednak niedawno już można było zacząć się niepokoić, była to jedna z najbardziej wzruszających. Kondratowi natomiast odwiecy prostoty „szarych” ludzi, trochę chyba zabrakło — przy wielkiej jednolitości stworzonej przezeń postaci — tej uczuciowej nadwyżki, jaka niezbędna jest w tej roli.

Zróżnicowanie widoczne było i w rolach przedstawicieli amerykańskiego sądownictwa, z których najbardziej interesujący był Prokurator. W celi z adwokatami, w celi z obrońcami, w celi z rodziną Castorri, choć Kerolina Lublinska wolała nieco więcej gry dramatycznej, uszlachetniającej postać nieco ponad tekst. Dozorcy nie zagrała aktorka tak wytrawną jak Leokadia Płonka, a celi z rodziną. Może jedynie bardzo trudny, roli szluga (Gustaw Buszynski) nie ustawiła reżysera i sam odwrócić dość zdecydowanie.

Oczywiście było bardzo trudno otrzymać równie silne napięcie przez dość długie szeregi obrazów. Sąd momentami wrażeń nieco niezgrabnego toku przedstawienia jedynie rezyserem poprawnym. Być może, niepełnie bez winy jest i reżysera. Myślę nie tylko o skrótu i silniejszych wypunktowaniu momentów zwrotnych i punkt na które należało może tu i ówdzie się zdobyć. W V odsłonie ekspresyjna, pełna pasji gra Greenglassa — Tadeusza Surowego, choćby i odbijając nieco od stylu całości, wprowadziła jednak w przedstawienie nowy, żywszy akcent. Umiar i dyskrekcja rezysera mogły, wydaje się, częściowo usłupować miejsca takim kwalifikacjom ujełcom, nawet s takim przechylem w ekspresjonizm. Czy nie za mało np. w dobie możliwości z scen z przedmiotami martwymi? Zwłaszcza może w ogóle zbyt jednostronnie pojęcie o ostatnich chwilach życia, o takim w nich, a nie innym upływie czasu. Wydaje się, że tempo spektaklu było mimo wszystko — nieco zbyt wolne, że był on zbyt „rowny” i przydobył się więcej zmian w jego rytmie, więcej momentów zelektryzowania.

Te wrażliwość, dotycząca problemów wyjątkowo subtelnych, nie są w stanie podważyć wielkiej zasługi reżysera. Prawdziwy majstersztyk pokazał bowiem jeszcze Bardini w odsłonie ostatniej. Tu najwyraźniej to, co mogło stać się kołkiem i posagowością, przeszło w najplekniejszą pojęcie artystyczny liryzm wspomnień miłości (odstających narodziny etycznych osobowości bohaterów), w wizję jasnej przyszłości (ich dzieci i przyszłych pokoleń). Znakomicie zestrzącając piękno wypowiedzi poetyckiej z pełnymi prostotą i czystością w celi, a bogactwem w gabinecie dekoracji (Otto Axer), z bardzo interesującą w instrumentacji i emisji muzyki (Tadeusz Bardini), wreszcie ze znakomitą grą światła i cienia (Nikodem Słepiowski) — reżysera Bardinego wyścawiała tu na pograniczu tej i tamtej strony życia rodzaj żalobnego trenu na scenie, w którym zmarli za wielką sprawę mówili do widzów o swej miłości do opuszczonego przez siebie świata i o swej nadziei.

Rozmowa z Leonem Kruczkowskim

teraturze tego rodzaju (mimo że jest ona bogata — mamy przecież listy więzienne bohaterów ruchu oporu, Francuzów, Niemców, listy Fuczika). Wyjątkowo duża jest siła ich działania, treść ideowa i ludzka. Nie wykorzystatem ich dosłownie — poza jednym czy dwoma zdaniem. Ale atmosfera i język listów określiły poniekąd dialogi w sztuce. Poza tym korzystałem z materiałów, jakie mogłem znaleźć w prasie zagranicznej, głównie francuskiej i amerykańskiej. Francuska, zwłaszcza w ostatnim okresie sprawy, pisała bardzo obszernie o sprawie, podawała liczne fakty, przynosiła realia.

A jakie materiały były wystarczające, by sztuka mogła być w pełni realistyczna?

— Złożeniem moim było ujęcie sztuki jako poetyckiego dramatu prozą. Szczególnie w scenach głównych. To wyraziło się w języku i kompozycji. Temat zawiera tyle grozy i okropności, że przy użyciu zwykłych środków dramaturgii realistycznej działanie na widza byłoby trudne do zniesienia. Przez ujęcie poetycko — realistyczne sprawa się sublimuje i nabiera innego wymiaru.

Rozpoczęliśmy rozmowę o szczegółach. Jak dramaturg rozwiązał zagadnienia związane z koncentracją akcji w czasie i przestrzeni?

— Konstrukcja sztuki — nawiązuje Kruczkowski — została, jak już mówiłem, oparta na motywach telefonu, który jest „osobą dramatu” i umożliwia zarazem pokazanie obu stron działających w sztuce, wszystkich głównych aktorów występujących w sprawie Rosenbergów łącznie z Greenglasem. Klasycznie „trzy jedności” są zachowane istotnie z wyjątkową konsekwencją. Ponieważ podstawą konstrukcji dramaturgicznej jest telefon, więc sztuka rozpoczyna się w momencie, gdy on się pojawił, tzn. od chwili jego zainstalowania na kilka godzin przed egzekucją. Oczywiście takie założenie jeszcze bardziej utrudniło zadanie pisarskie, zwłaszcza w sztuce pozabawionej „akcją” w normalnym sensie, ograniczono ono swobodę ruchu dramaturga, np. w zakresie wprowadzania innych postaci Rosenbergami. Wskutek takiego samograniczenia byłem również zmuszony w niektórych szczegółach odstępować od autentycznych realiów — niektóre wydarzenia przebiegały w rzeczywistości nieco inaczej, np. wizyta dzieci i obrońcy naprawdę miała miejsce dwa dni wcześniej.

— Czy nie uważa Pan, że ponieważ widz zna wszystkie elementy, znane mu

jest również zakończenie — że osłabi to zainteresowanie widza?

— Z tym pytaniem spotykałem się często. Wiele osób wysuwa zastrzeżenie, czy pokazanie na scenie sprawy dokładnie znanej nie osłabi napięcia. Wiemy że Rosenbergowie nie ulegną, skoro zaś rozwiązanie głównego konfliktu jest znane, odpada możliwość wciągnięcia widza w konflikt. Otóż wydaje mi się, że to nie odgrywa żadnej roli. Przede wszystkim w sztuce najważniejsze jest nie „co”, ale „jak”. Tutaj moje główne zadanie polegało na intuicyjnej próbie odwrotzenia konfliktu i perypetii duchowych, które ci ludzie mogli przeżywać w ostatnich godzinach. Poza tym wiemy, że istnieje w literaturze dramatycznej wiele utworów, przy których widz zna nie tylko zakończenie, ale i całą treść akcji: np. sztuki klasyczne i historyczne, w których postaci i ich losy są znane. Do tego dochodzi oczywiście sprawa wykonania.

I inscenizacja — nowy problem. Czy przedstawienie warszawskie jest takie, jakim je Pan sobie wyobrażał, pisząc sztukę?

— W zasadzie przedstawienie w Teatrze Kameralnym odpowiada temu wyobrażeniu, jakie miałem — zresztą współpracowałem przecież przy inscenizacji, dyskutowałem z reżyserem. Bardini trafnie odczuł i uwydatnił w inscenizacji poetyckie założenia sztuki. Myślę też, że słusznie nadał jej wyraz „tragedii optymistycznej”. Kim byli Rosenbergowie? — Zwykłymi, przeciętnymi ludźmi, którzy niespodziewanie okazali swą wielkość ideową i moralną. Sprawa Rosenbergów to sprawa bohaterstwa ludzi prostych, którzy stanęli wobec próby sił i wyszli z niej zwycięsko — myślę, że dlatego można ją nazwać tragedią „optymistyczną”.

— Czy tekst sztuki w czasie inscenizacji pozostał bez zmian, czy może „zmaterializowanie się” jej na scenie nasunęło Panu nowe szczegóły, nowe rozwiązania?

— Nieznaczne różnice między tekstem drukowanym a „scenicznym” polegają wyłącznie na normalnych skrótach i określeniach uzgodnionych między reżyserem i autorem. Mimo tych skrótów i określeń przedstawienie trwa pełne trzy godziny. Być może, w dalszych inscenizacjach należałoby jeszcze bardziej skondensować niektóre fragmenty dialogów.

Dłuższą chwilę dyskutowaliśmy o trudnościach wystawienia.

— To nie jest sztuka — stwierdził Kruczkowski — która może być grana w każdym teatrze. Przede wszystkim trzeba mieć wykonawców obu ról głównych.

Również forma i budowa sztuki stawiają przed teatrem wyjątkowe trudności i wymagają niezwykłego taktu, dyskrekcji, zwłaszcza w traktowaniu scen między *Juliuszem i Ethel* — bardzo łatwo wpaść tutaj w teatr naturalistyczny.

Przeszliśmy do spraw ogólnych — zapytałem o inne sztuki.

— Na temat Rosenbergów, o ile wiem — zastrzegł się Kruczkowski — napisano już 5 sztuk. Oprócz mojej są jeszcze angielska, francuska, niemiecka i węgierska. Z tych czterech tylko węgierska podobnie ujmuję temat, akcja toczy się w ciągu ostatnich godzin życia Rosenbergów, ale inny jest jej zasadniczy pomysł: tam rzecz polega na tym, że w celi zjawia się wysłannik Departamentu Sprawiedliwości, który maskując się jako życzliwy przyjaciel, ukryty postępuje z ery Roosevelta, usiłuje uzyskać kapitulację Rosenbergów — w mojej sztuce tę rolę gra telefon. Całe trzy akty wypełnione są dialogami tych trzech osób, nieliczne są chwile, w których Rosenbergowie pozostają sami. Tak więc cała sprawa toczy się na płaszczyźnie dyskusji zasadniczej, a wewnętrzne konflikty ludzkie są wyeksploatowane w znacznie mniejszym stopniu.

Z pozostałych trzech sztuk niemiecka i angielska ujmują sprawę reportażowo, faktograficznie podają cały jej przebieg od początku do końca łącznie z fragmentami procesu itd. Sztuka francuska ma zupełnie inne założenia: jest to sztuka nie o samych Rosenbergach, lecz ukazuje stosunek społeczeństwa amerykańskiego do ich sprawy. Akcja dzieje się w rodzinie lekarza w Nowym Jorku, przez scenę przewija się szereg ludzi, wśród których dochodzi do konfliktów i starć na tle różnicy ich postaw wobec sprawy Rosenbergów.

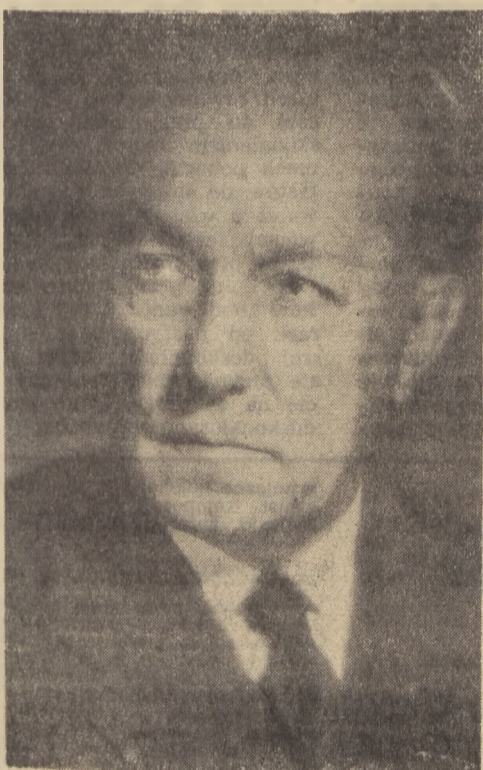
— Pan zna te sztuki?

— Znam angielską i niemiecką w przekładzie, węgierską czytałem mi tłumaczac „na surowo” z oryginału. Była ona opublikowana drukiem w październiku ub. roku — w tym samym czasie, gdy drukowałem swoją sztukę w „Nowej Kulturze”.

Ostatnie pytanie — jakie teatry wystawiają *Juliusza i Ethel*?

— Oprócz Warszawy wystawia tę sztukę również Poznań, poza tym interesuje się nią Kraków. Wszystko zależy od tego, czy teatr ma wykonawców dla obsadzenia dwóch głównych ról — kończy rozmowę Kruczkowski.

rozmawiał Z. LASKOWSKI



Rozpoczęliśmy rozmowę od historii.

— W chwili śmierci Rosenbergów — mówi Kruczkowski — byłem w Budapeszcie na sesji Rady Pokoju. Tam dostała nas wiadomość o egzekucji. Od członków Rady Pokoju dotarł do mnie szczegółowy raport o ostatnich chwilach, m. in. o ostatniej próbie załamania Rosenbergów, jaką było zainstalowanie telefonu. Dlaczego napisałem tę sztukę? — Historię Rosenbergów bardzo mocno przeżyłem. Poza tym uderzyło mnie w niej wyjątkowo ściśle zespolenie dwóch spraw: osobistego dramatu ludzkiego — z kluczowym, bardzo poważnym, zagadnieniem politycznym.

Koncepcja sztuki powstała spontanicznie. Narzucił mi się obraz: cela, w niej dwoje ludzi toczących wewnętrzną walkę i telefon jako trzecia osoba dramatu. Pierwotnie akcja sztuki miała się dziać tylko w celi i pokazywać tylko Rosenbergów (oczywiście jeśli pominąć postacie epizodyczne, takie jak dozorcy) — potem dopiero rozszerzyłem pomysły pokazując „drugą stronę” w scenach z prokuratorem i sędzią, przedstawicielami amerykańskiego faszystwu.

Padło pytanie o materiały.

— Podstawą był zbiór listów Rosenbergów. To wyjątkowo dokumenty w li-

PRZEŁOM W POLSKIM BALECIE?

POLSKA prapremiera radzieckiego baletu „Romeo i Julia” Prokofiewa jest tym wydarzeniem artystycznym, które nie powinno minąć bez wpływu na dalszą przyszłość naszej choreografii. Jest bowiem zapoczątkowaniem na naszych scenach prawdziwego teatru tanecznego, nowego gatunku scenicznego, od którego nasze dotychczasowe widowiska baletowe były dość odległe.

Reforma muzyczna Piotra Czajkowskiego przemieniła w ostatnim dziesięcioleciu ubiegłego wieku muzykę baletową do szablonoowego akompaniamentu do tańca w wartościowe, symfoniczne dzieło, związane z rozwojem akcji scenicznego, sytuacjami i przeżyciami bohaterów; w ten sposób powstały podwaliny pod dramaturgię muzyczną w balecie, stanowiącą dziś jeden z zasadniczych składników radzieckiej choreografii scenicznego. Muzyka Sergiusza Prokofiewa tworzy właśnie taką mocną podstawę dramatyczną baletu „Romeo i Julia”; stwarza cały szereg muzycznych portretów postaci, rozwijając się wraz z ich duchowymi przeobrażeniami (pogodny temat Julii jako beztroskiej dziewczyny przetrworzony zostaje z biegiem akcji w tragiczny obraz uchochowych zmagających bohaterki), małe sceny sytuacyjne jako pełne prawdy obrazy życiowe (np. scena pojedynku i śmierci Merkuta, gdzie na tle ponurej zapowiedzi nadchodzącej śmierci pojawia się znów żarliwy motyw z tragicznego obrazu uchochowych zmagających bohaterki), charakterystyczne środowiska (np. motyw pałacy, związany z rodem Capuletów i pojawiający się w orkiestrze zawsze jak groźne ostrzeżenie, zwiastujące zbliżanie się nieszczęścia).

Drogę do nowoczesnej koncepcji teatru baletowego utarowały również zdobycze dwóch reformatorów sztuki tanecznej na początku naszego stulecia: Aleksandra Gorskiego i Michała Fokina. Ich zastąpić było ściślej powiązanie tańca z dramatem i muzyką, zbliżenie widowiska do prawdy życiowej, osiągnięcie jednolitości stylistycznej wszystkich elementów widowiska, a więc muzyki, tańca, kostiumów i dekoracji, zastąpienie szablonowej konstrukcji baletowej tańcem, wynikającym z

„Romeo i Julia” Prokofiewa w Warszawie

akcji. Tak się szczęśliwie złożyło, że dzięki obejrzeniu niedawno w Warszawie baletu Piotra Czajkowskiego „Jeziorko Łabędzie” w wykonaniu zespołu Opery Poznańskiej — mamy możliwość uświadomienia sobie na przykładach, jak ogromną ewolucję przeszła koncepcja widowiska baletowego w ciągu niespełna stu lat (od premiery „Jeziorka Łabędziego” dzieli nas zaledwie 76 lat!). Dziś, w widowisku „Romeo i Julia” widzimy pełnowartościowy spektakl dramatyczny, w którym słowo mówione czy śpiewane zastąpiono zostało gestem i ruchem tanecznym.

Jasne jest że nie wszystkie sytuacje z powieści czy dramatu dać się przeniesie na scenę baletową o dość ograniczonych środkach wyrazu; głównym więc zadaniem stało się wyrażenie przedwzrostu idei wzoru literackiego w jego baletowej adaptacji. Autorzy libretta „Romeo i Julia”, choreograf Lawrowski i kompozytor Prokofiew, doceniając w pełni wagę wszystkich konwencji teatru szekspirowskiego i konwencji współczesnego teatru baletowego, nie kuli się bynajmniej o wierne odwzorowanie wszystkich scen nieśmiertelnej tragedii. Dla wydobycia natomiast głównej myśli Szekspira, dla ukazania całego tragizmu niepotrzebnej śmierci dwojga młodych istot, nieszczerliwych połączonych w rodzinę — twórcy baletu nie wahali się przed dokonaniem pewnych skrótów, przedstawień czy nawet wprowadzeniem obrazów, nie figurujących na szekspirowskiej scenie. I tak np. scena ślubu w celi Ojca Laurentego jest przecież nieodzowna dla zrozumienia i logicznego rozwoju całej akcji baletowej. Pomimo zastosowania tej słusznej metody, jest jeszcze w balecie wiele niejasności, nieczytelnych bez pomocy drukowanego w programie libretta. Stworzyły je sytuacje, następujące zbyt wiele trudności dla rozwiązania choreograficznego: niezrozumiała jest zupełnie sprawa pisma czy ogłoszenia w I obrazie; pojedynek Capuletta z Montecchim w I obrazie symbolizować musi wieloletnią nienawiść dwóch rodów; brak kontaktu Romea ze starym Montecchim — ojcem nie

wyjaśnia ich rodzinny stosunek; niemożność wyjaśnienia późniejszych skutków napoju usypiającego wręczonego Julii przez zakonnik sprawia, iż widz przyjmuje sen Julii jako śmierć. Pomimo tych drobnych usterek całość akcji ma mocno zarzysany konflikt dramatyczny, a poszczególne obrazy, nasycone emocjonalną treścią, przemawiają głęboko do widzów.

W ogniu wszystkich skonsolidowanych wysiłków artystów radzieckich, korzystających z najlepszych tradycji przeszłości, a zarazem walczących o stworzenie nowej, wielkiej sztuki realistycznej — kształtowały się w latach 1930 — 1940 zasady nowoczesnej choreografii, których pełnym wyrazem stał się balet „Romeo i Julia”, oparty na nowej dramaturgii muzycznej, scenicznego i choreograficznego. Prapremiera jego odbyła się w 1940 r. w Teatrze im. Kirowa w Leningradzie z Haliną Ulanową w roli Julii; premiera moskiewska, również z udziałem Ulanowej, miała miejsce w 1946 r.

Warszawska inscenizacja „Romeo i Julia”, dzieło choreografa-reżysera Jerzego Gogola, absolwenta Wydziału baletmistrzowskiego G. I. T. I. S. w Moskwie, wprowadzając szereg własnych, nowych pomysłów, pozostaje jednak w ogólnych zarysach w klimacie radzieckiej koncepcji inscenizacyjno-choreograficznej, stworzonej przez artystów: Prokofiew — Lawrowski — Ulanowa, których nazwiska nierozłącznie związane są z tym baletem. Osią tej koncepcji jest osobisty dramat dwojga młodych, rozgrywający się na tle barwnych scen rodzajowych, malujących charakter epoki i środowiska.

Centralną postacią jest tu zdecydowanie Julia, wyposażona w bogatą linię przemiany duchowej z niefrasobliwej dziewczynki w świadomą swych uczuć dojrzałą kobietę, zdecydowaną walczyć o swe szczęście. Jej charakterystyką taneczną choreograf zsynchronizował z biegiem tej przemiany wewnętrznej: od lekkich pełnych wdzięku kroków „allegro” igrającej z nią dziewczynki (2 obraz I-go aktu), poprzez

miękkie, plastyczne ruchy miłosnego „adagia”, nieśmiało jeszcze w madrygale (obraz 3), a pełne żaru i sily uczucia w wielkim dialogu tanecznym w „scenie balkonowej” (obraz 4) przechodzi Julia do mocnych, dramatycznych gestów scen finałowych. Trudno doprawdy o lepszą wykonawczynię tej roli niż **Barbara Bittnerówna**, tancerka dojrzała artystycznie, obdarzona umiejętnością stwarzania żywych, prawdziwych psychologicznie postaci, pełna na przemian wdzięku, namietności, liryzmu i przejmującego tragizmu. Jej Julia pełna jest południowego temperamentu włoskich dziewczynki i mocniej związana z bijną epoką włoskiego Odrodzenia niż bardziej liryczna i spokojniejsza wewnętrznie, młodzieńca **Olga Sawicka**. Jednakże, pomimo braku wieloletniego doświadczenia scenicznego Sawicka wykazała umiejętność stylowej interpretacji roli i znaczny postęp swych aktorskich możliwości; niewątpliwie rola ta będzie ważnym etapem na drodze stalego rozwoju tej wybitnie utalentowanej tancerki. Jako trzecią Julię zobaczymy w jednym z najbliższych przedstawień uzdolnioną młodą tancerkę **Lilianę Wolską**.

Bogatsza wewnętrznie postać Julii przyćmiewa melancholijnego Romea, który potraktowany jest raczej w typie „kawalera baletowego” co zuboża go i w treści wewnętrznej, i w formie ruchowej wypowiedzi. Jako partner Julii musi się właściwie ograniczyć tylko do biernej kontemplacji swego ideału, unosząc ukochaną wysoko w ramionach w szeregu efektownych poz powiewających. Kilka krótkich wariacji solowych nie daje mu możliwości pełnego wypowiedzenia się. Tak tę rolę ujęli interpretacyjnie obaj Romeowie: bardziej liryczny miękkiej w ruchach, pełen tkliwej adoracji **Witold Gruca** oraz energiczniejszy i bardziej męski w postawie, lecz chłodniejszy w kontakcie z partnerką, zatopiony bardziej w swoich przeżyciach, **Stefan Went**. Obaj zresztą młodzi artyści, debiutujący właściwie w tak poważnej, całospiektałowej roli, nie zdolali jeszcze obdarzyć Romea własną indywidualnością interpretacyjną i mocniej tej postaci zdefiniować. W każ-



Barbara Bittnerówna w roli Julii

Fot. COPIA

dym razie rola ta sprawia wrażenie mniej starannie opracowanej reżysero niż wyczelowana w każdym szczególe postać Julii. Czekaemy jeszcze na trzecią kreację Romea, kreację Witolda Borkowskiego, któremu okres rekonwalescencji uniemożliwił udział w obsadzie premierowej.

Zgodnie z wieloplanowością tematyki szekspirowskiej, która poprzez szereg ubocznych wątków składa się na pełny obraz epoki włoskiego Renesansu — główny wątek romantyczny przeżyć bohaterów rozwija się na tle scen rodzajowych, jak: karnawał uliczny w Weronie (z porwijającą tarantellą, w której wyróżnia się para tancerzy **Maryna Parnell — Bogdan Wolczyński**), bal dworski i zgodne z ówczesnym obyczajem wtargnięcie nieproszonego maski, pojedynki i grupowe starcia okrutne, wybuchające przy lada okazji, a podsycane wrogą atmosferą rodowej kłótni (podkreślić należy doskonale przygotowanie szermiercze wykonawców, prowadzone przez **S. Lindnera** oraz pomysły pod względem tanecznym ujęcie tych scen). W scenach ulicznych królują dwie kapitalne postacie, reprezentujące dwa powasnione domy: napastliwy, pewny siebie Tybalt i pogodny, beztroski, a sprytny Merkutio. Obaj tancerze: **Zbigniew Kiliński** jako Tybalt i **Karol Szrom** jako Merkutio stworzyli znakomite, prawdziwie szekspirowskie postacie; scena ich śmierci (obraz 2 II-go aktu) stanowi jeden z najmocniejszych dramatycznie i najpiękniej aktorsko przeprowadzonych momentów akcji.

Całe to bujne życie renesansowe, jakkolwiek nie uchroniło od zagłady nieszczęśliwych kochanków z Weronie, odnosi triumf nad ponurymi pozostałościami zamierającego średniowiecza. I chociaż balet kończy się pełną przejmującego smutku sceną śmierci Romea i Julii — akord końcowy nie brzmi nutą beznadziejnego pesymizmu. Przesady średniowiecza, które rozdzieliły kochanków, przezwyciężone zostały siłą nowego życia i oto w grobowcu Capuletów godzą się dwaj ojcowie powasniionych rodzin, złączeni wspólną stratą swych dzieci. Ta głęboka

idea humanistyczna została silnie zaakcentowana w inscenizacji baletu (moment złozenia mieczów obok martwych postaci).

Warszawskie przedstawienie baletu „Romeo i Julia” jest niewątpliwie osiągnięciem artystycznym naszej Opery, a zarazem cennym przykładem wartościowego teatru tanecznego. Ma ono obok zalet czysto choreograficznych, również wiele zalet teatralnych, z których najważniejszą jest oprawa scenograficzna. Piękne, stylowe dekoracje i kostiumy projektu **Teresy Roszkowskiej** podnoszą walory widowiska, a wspaniały w kolorycie obraz pałacy na balu u Capuletów (obraz 3 aktu I-go) pozostawia długotrwałe wspomnienie. Szkoda tylko, że szwankował reflektor punktowy, który w balecie tym ma specjalnie ważną funkcję. Ważne i skrupulatne oko recenzenta odnotowałoby jeszcze kilka innych usterek, (jak np. trudna do pominięcia, rażąca nierównowagę wykonania tańca czterech przyjaćlecek Julii) — które są łatwe do usunięcia i nie umniejszają ogólnej wartości całego spektaklu, zajmującego pozycję najlepszego ze wszystkich powojennych spektakli baletowych w Polsce. Jest to wielki krok naprzód i wielkie świadectwo naszych artystycznych możliwości w dziedzinie choreografii; wydarzenie to powinno stać się momentem przełomowym w naszym dotychczas tak upośledzonym i zaniedbanym życiu baletowym. Balet „Romeo i Julia”, który powstał przed 14 laty jako owoc wielkich i trudnych wysiłków, doświadczeń i poszukiwań, niech również będzie dla nas bodźcem do pracy nad dalszym doskonaleniem metod realizacyjnych, niech pobudzi również naszych artystów do śmiałych poszukiwań, do walki o własny nowy repertuar, o własny teatr taneczny. Ale pamiętajmy przy tym na przykładzie „Romeo i Julii”, że „nie od razu Kraków zbudowano”, i nie zjadamy od razu od naszych baletów najwyższej doskonałości treści i formy, ale przynajmniej wstępny narezanie na tej drodze, która nas do tej doskonałości poprowadzi.



Scena zbiorowa z I aktu

Fot. COPIA

KILKA SŁÓW

o muzyce

KONCERT MUZYKI POLSKIEJ W WASHINGTONIE

W salach ambasady Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej w Waszyngtonie odbył się 14 maja koncert muzyki polskiej w wykonaniu artystów amerykańskich. Program obejmował utwory Chopina, Wieniawskiego, Szymanowskiego, Stokowskiego, Szellowskiego, Wilkomińskiego i Woytowicza. Na koncercie obecni byli wśród gości członkowie misji dyplomatycznej państw akredytowanych przy rządzie USA.

KONCERTY KU CZCI ANTONIEGO DWORZAKA W LONDYNIE

Orkiestra symfoniczna radia londyńskiego da w najbliższym czasie kilka koncertów poświęconych muzyce wielkiego kompozytora czeskiego Antoniego Dworzaka. W związku z pięćdziesięcioleciem jego śmierci. Pierwszy koncert z tego cyklu odbył się dnia 13 maja w Festiwal Hall, orkiestrą dyrygował Malcolm Sargeant a jako solista wystąpił Pierre Fournier.

Publiczność londyńska z wielkim entuzjazmem przyjęła koncert muzyki Antoniego Dworzaka.

DZIEŁA BELI BARTOKA ZA GRANICĄ

Opera Beli Bartoka „Zamek Sinobrodęgo” odniosła ostatnio wielki sukces w La Scala w Mediolanie. W związku z tym włoskie pismo „Unita” zamieściło o tym kompozytorze poważny i wnikliwy artykuł.

W serii konferencji poświęconych różnym kompozytorom świata Brytyjskie Towarzystwo Muzyki Współczesnej zorganizowało publiczną debatę nad dziełami Beli Bartoka. Znany muzykolog Co-

lin Mason podkreślił wielkie wartości artystyczne i doskonale opracowanie techniczne charakterystyczne dla dzieł tego węgierskiego kompozytora.

o filmie

WSPÓŁPRACA ARTYSTÓW FILMOWYCH ZACHODNICH I WSCHODNICH NIEMIEC

Coraz bardziej ożywa się współpraca między artystami filmowymi wschodnich i zachodnich Niemiec. I tak na przykład w nowym filmie „Ein Rom — Zirkus” realizowanym przez wytwórnię NRD-DEFA weźmie udział zachodnioludniemiecki reżyser filmowy Hans Müller, który już poprzednio współpracował przy nakręcaniu filmu „1—2—3 korony”.

Scenariusz do nowego filmu napisał również zachodnioludniemiecki autor A. Kuhnt. Duże zainteresowanie w kołach filmowych wzbudziła wiadomość, iż główną rolę w tym filmie objęła znana artystka Henny Porten.

NĘDZNYCY WIKTORA HUGO PO RAZ SIÓDMY

Słynna powieść Viktora Hugo „Nędznicy” będzie jeszcze raz sfilmowana. Jest to już siódma adaptacja filmowa. Tym razem francuska — w rolach głównych wystąpią m. in.: jako Valjean — Jean Gabin, jako Javert — Dieter Borsche.

o plastyce

WYSTAWA SZTUKI LUDOWEJ W ZWIĄZKU Z OBCHODEM 10-LECIA

W Lublinie, który w tym roku będzie terenem uroczystości związanych z 10-leciem PKWN oraz w woj. rzeszowskim

i białostockim, gdzie również obchodzą się będzie w bieżącym roku 10-tą rocznicę wyzwolenia — trwają przygotowania do otwarcia wojewódzkich wystaw sztuki ludowej.

Wystawy te, których otwarcie nastąpi w dniu Święta Odrodzenia, stanowią będą przegląd 10-letniego dorobku artystów ludowych tych województw. Poprzedzą one ogólnopolską wystawę sztuki ludowej, związanej z obchodem 10-lecia Polski Ludowej.

PARYSKA NAGRODA MŁODEGO MALARSTWA

Laureatami tegorocznej paryskiej nagrody „Młodego Malarstwa” zostali: Polak, Denise Lemaire, Maurice Botte i Jacques Decaille. Na ogół wystawione plótna odznaczały się wysokim poziomem i rokując jak najlepsze nadzieje na przyszłość. Jury znalazło się więc w szczególnej sytuacji, że mogło przyznać nagrody do dzieła naprawdę wartościowe. Według opinii recenzentki tygodnika „Les lettres françaises” na największą uwagę spośród nagrodzonych zasługują prace Denise Lemaire, które są doskonale zarówno w rysunku, jak i w kompozycji.

WYSTAWA HERENDZKIEJ PORCELANY

Herendzka porcelana produkowana na Węgrzech sławna jest na cały świat. W czasie okupacji fabryka wyrobów porcelanowych Herend została całkowicie zburzona. Po wyzwoleniu kraju fabrykę odbudowano i wyposażono w najnowsze maszyny. Wysokołone nowe kadry mistrzów oraz artystów malarzy i rzeźbiarzy.

Fabryka porcelany w Herend obchodzi obecnie 115 rocznicę swego istnienia. Z tej okazji w Budapeszcie otwarto wspaniałą wystawę wyrobów tej fabryki. Setki pięknych eksponatów obrazują historię rozwoju produkcji najstarszej porcelany na Węgrzech.

o teatrze

W WARSZAWIE POWSTAŁA „ESTRADA POETYCKA”

Przed kilkunastu laty wielki polski aktor i leśnik teatru „Ateneum” — Stefan Jaracz, zainicjował wieczory poetyckie. Udział w nich brali między innymi poeci Józef Czechowicz i Konstanty Ildefons Gałczyński.

Dnia 20 bm. w teatrze „Ateneum” odbył się wieczór inauguracyjny „Estrady poetyckiej” będący przeglądem najnowszej polskiej poezji. Udział wzięli poeci: St. Ryszard Dobrowolski, Jastrun, Ficowski, Kublak, Mandallan, Sucki i inni. „Estrada” zaprezentowała nam około 40 wierszy najwybitniejszych naszych poetów z Leopoldem Staffem, Broniewskim i Iwaszkiewiczem na czele.

ISTOTĘ „SZTAMPY” AKTORSKIEJ

odślania w swych „Myślach aktora” w nr 48 „Sowieckiej Kultury” wybitny radziecki artysta teatru i filmu W. Merkuriew. Twi on w nieznanym zjawisku. Aktor, który popadł w sztafpe, widzi świat w sposób ubogi, nie dostrzega indywidualnych właściwości poszczególnego człowieka. Zapoznając się z rolą pomija w postaci rysy nowe, dotąd nieznanne, podlega wszystko do swoich wąskich pojęć. Tiwa oczywiście w złudzeniu, że otaczający świat jest mu dobrze znany, lecz w gruncie rzeczy powtarza w swych rolach, których różnorodność coraz bardziej się zaciera, kilka ogólnikowych schematów. Nawiazując do poglądu, że aktor związany jest z życiem przede wszystkim autorem, Merkuriew przypomina jednak, że aktor nie może nigdy „żyć z gotowego”, że ponosi równą z autorem odpowiedzialność za stopień prawdziwości ukazanego w sztuce życia, za ideowy wygię jego obrazu.

PIĘKWSZĄ LOTEWSKĄ KOMEDIĘ MUZYCZNĄ

wystawiono niedawno w Państw. Teatrze Komedi Muzycznej ŁSR w Rydze. Nosł ona tytuł „W kraju błękitnych jezior” i mówi o wspólnej budowie elektronicznej „Przyjaźni narodów” przez po-

„LADACZNICA Z ZASADAMI” W LIPSKU

Na scenie kameralnej Miejskiego Teatru w Lipsku wystawiono niedawno głośne, znane i Warszawie, dzieło Sartre’a w reżyserii E. A. Windsa. Największą nowością inscenizacji była zmiana zakończenia sztuki. Liza, która w oryginalnej — nawet mimo zastosowanego wobec niej policyjnego szantażu — protestuje przeciw fałszywemu oskarżeniu i linczowi Murzynów, lecz w końcu jednak staje się kochanką mordery, Freda, w inscenizacji lipskiej pokazuje siostreniwość Senatora i drzwi Premiera wywołując żywą wymianę poglądów O le J. Rühle na ogół chwali przedstawienie, Lothar Creutz w nr 19 „Weltbühne” przyznaje wprowadzienie Sartre’owi i realizm, i mistrzostwo scenicznego, godne naśladowania, wskazuje jednak zarazem na ograniczoną i ostaczną kapitalną buntującą się moralność, co spektakl pominał. „Jeśli pisarz egzystencjalistyczny — stwierdza Creutz — zrywa z amerykańskim imperializmem i przyłącza się do światowego ruchu pokoiu, pisarz taki jest naszym człowiekiem. Powstał jednak nadal pytanie, czy z tego powodu człowiek ten jest również naszym pisarzem”.

Redaguje Zespół „Przemiana miesięczna 4 zł. Kwartał 12 zł. Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43; tel. 8-60-11 (3). Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze. Zakłady Drukarskie i Włókielnicze RSW „Prasa” w Wa, Marszałkowska 3/5. Zam. 1196 5-B-150063